



Liz Fielding

Oświadczyny pod choinką



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- A jaką konkretnie pracą byłaby pani zainteresowana, panno Harrington?

- Proszę mówić do mnie Sophie. Peter zawsze zwraca się do mnie po imieniu.

No właśnie, gdzie ten Peter się podziewa? Akurat teraz go wcięło, gdy tak bardzo jest mi potrzebny! Peter, niemal przyjaciel... no, kumpel raczej... dobrze wie, że od blisko pięciu lat ofiarowuję tej agencji mój niewyczerpany potencjał energii. Zawsze tu wpadam, kiedy w pracy powieje nudą lub pracodawca zrezygnuje z moich usług, bo nie jestem osobą odpowiednią. Czasami bywa odwrotnie. Okazuje się, że jestem osobą aż nadto odpowiednią, niestety, stać mnie jednak na to, by w pewnych sytuacjach rzucić w twarz szefowi stanowcze „nie!”.

Jeśli chodzi o ostatni przypadek, sama się zorientowałam, że wymaganiom szefa absolutnie nie sprostam. Odeszłam, mając na względzie tylko i wyłącznie jego dobro, bo dla mnie bezrobocie oznaczało kompletną katastrofę. Dlatego teraz, spoglądając na ucieleśnienie chłodu po drugiej stronie biurka, zastanawiałam się w duchu, czy moja decyzja nie była jednak zbyt pochopna.

- Każdą. Nie jestem wybredna. Jedyne, co mnie od-

strasza, to wpisywanie do komputera. Komputerów mam potąd.

Dotknęłam czoła, dając do zrozumienia, że przysłowio-
we dziurki w nosie to za mało, a granica mej odrazy prze-
biega jeszcze wyżej. Naturalnie tylko względem kompu-
terów, dlatego zaraz uśmiechnęłam się jak najbardziej za-
chęcająco na znak, że poza stukaniem w klawiaturę goto-
wa jestem imać się każdego zajęcia.

- Szkoda, że zrezygnowała pani z pracy u Mallory'e-
go. To była ambitna posada, z przyszłością. Czy dali pani
jakieś referencje?

O referencje nie prosiłam, a to z uwagi na dość delikat-
ną sytuację. Ekspert od software'u potrzebował sekretarki.
Ja nie jestem sekretarką, o czym poinformowałam go za-
raz na wstępie, ale zdecydowana jestem dać z siebie
wszystko. On zdecydowany był mi to umożliwić, tym
bardziej że należał do mężczyzn doceniających pięknie
zrobione paznokcie. Niestety ani perfekcyjny manikiur,
ani dobrze opanowana technika trzepotania rzęsami w po-
łączeniu z umiejętnością parzenia znakomitej kawy nie
rekompensowały faktu, że w klawiaturę stukam dwoma
palcami. Popracowałam jednak tam trochę, choć, przyzna-
ję bez bicia, kierowały mną niskie pobudki. Szef eksperta,
Richard Mallory, szykował się wtedy do ślubu z moją
najlepszą przyjaciółką, Ginny, z którą zresztą sama go
wyswatałam. Jakże miałam zawracać mu głowę swoimi
sprawami, prosić, by się zastanowił, czy nie mogłabym
w jego firmie sprawdzić się na jakimś innym polu. Ode-
szłam więc od eksperta na tydzień przed wspomnianym
ślubem, błagając wszystkich o dyskrecję.

Zrozumiałe, że o żadne referencje nie prosiłam.

- Wydaje mi się, że bardziej nadaję się do pracy z ludźmi niż do stukania w klawiaturę - odparłam oględnie. - Kiedyś pracowałam w recepcji...

- *W recepcji niewyposażonej w komputer?*

- Niestety, dziś trudno o taką recepcję - odszczeknęłam, zarazem próbując się uśmiechnąć, co wcale nie było łatwe, bo ta kobieta rodem z Antarktydy działała jak lodowaty prysznic. Rozmowa z mężczyzną, istotą nieskomplikowaną, byłaby o niebo łatwiejsza. Śmiem bowiem bez fałszywej skromności twierdzić, że mężczyźni wystarczyły jeden rzut oka na moją osobę i sprawa szybkości stukania w klawiaturę zeszlaby na dalszy plan. - Pracowałam jeszcze w galerii sztuki. Bardzo mi się tam podobało...

Dopóki właściciel galerii nie postawił mnie pod ścianą -. dosłownie - i kazał wybierać. Albo zabieram go do swego domu w celach oczywistych, albo żegnam się z pracą. Czyli szok, bo ja, idiotka, naprawdę wyobrażałam sobie, że w towarzystwie faceta, który gustuje w aksamitnych spodniach i atłasowych kamizelkach, każda kobieta może czuć się bezpieczna.

- W galerii? Nie dziwię się - zasyczała Lodowata. - Gdzie jak gdzie, ale tam zawsze można spotkać bogatych kolekcjonerów dzieł sztuki. Niestety, panno Harrington, my nie jesteśmy biurem matrymonialnym.

- A mnie takie biuro do szczęścia niepotrzebne - wypaliłam, znów trochę za ostro, ale chęć do dialogu z tą właśnie osobą osiągała już u mnie poziom niemal zerowy.

Mnie zresztą naprawdę w stosunkach damsko-męskich

pomoc żadnej instytucji nie jest potrzebna. Podobam się facetom, w związku z czym co pewien czas miewam problemy, mniejsze lub większe, kiedy któregoś z nich trzeba przekonać, że jego marzeń nie spełnię. Czasami odbywa się to dość burzliwie, czasami idzie gładko i niedoszły amant prosi już tylko o przyjaźń. W każdym razie w kwestii randek nie potrzebuję pośredników, poza tym teraz nie randki były mi w głowie, tylko jakiś etat. Od zaraz.

- Przepraszam, a Petera nie ma dziś w pracy? - spytałam, dając babsztyłowi cudowną możliwość wycofania się z dialogu ze mną. - Zna mnie dobrze i wie, do czego się nadaję.

Wymowne spojrzenie Lodowatej świadczyło niezbitcie, że na temat mojej przydatności zawodowej ma własną teorię.

- Peter jest na urlopie, wraca w przyszłym miesiącu. Wątpię jednak, czy byłby w stanie pani pomóc. W dzisiejszych czasach firmy poszukują osób kompetentnych, powierzchowność jest sprawą drugorzędną. Z pani dokumentów wynika, że pracowała pani w wielu miejscach, nie posiada jednak żadnych kwalifikacji. Panno Harrington, czy w ogóle zaplanowała pani jakoś swoją karierę zawodową?

Na litość boską! Czy ta kobieta uważa mnie za kompletną idiotkę? Oczywiście, że wszystko dokładnie sobie zaplanowałam. Moja koncepcja przyszłości uwzględnia przede wszystkim obfitość białych, pieniających się koronek, dwie obrączki i wielki namiot rozstawiony w ogrodzie przy domu moich rodziców. Nad realizacją tego planu pracowałam od momentu, gdy moje oczy po raz pierwszy

spoczęły na PCF-ie ubranym w obcisłe bryczesy, zdarzyło się to bowiem podczas konkursu hippicznego zorganizowanego na cele dobroczynne przez moją niespożytą mamę.

PCF. Peregrine Charles Fotheringay. Zamierzałam za-ręczyć się z nim w dniu moich dziewiętnastych urodzin, ślub za rok. Dzieci czworo, czynności bardziej absorbują-ce powierzone zostaną perfekcyjnej niani ze Skandynawii. Po niewielkim elżbietąńskim dworku, oprócz dzieci, bie-gać będą setery irlandzkie z najlepszymi rodowodami, zdobywające niezliczone nagrody na prestiżowych poka-zach kynologicznych.

Niestety Perry Fotheringay, mężczyzna zniewalająco przystojny i dziedzic owego dworku, miał własny plan, który mojej osoby nie uwzględniał. A już na pewno nie w kontekście białych koronek, obrączek i namiotu dla we-selnych gości.

Mój plan legł w gruzach, moje biedne serce z hukiem się rozpadło.

Chociaż nie. Może tylko mnie opuściło i razem z dale-kością planem porasta teraz kurzem na półce wśród trofeów myśliwskich zdobytych przez PCF-a.

Głupia wiara to wielki błąd. Powiedział, że kocha, ślub jest więc nieunikniony. Jeszcze większym błędem jest mi-łość bezgraniczna. I ślepa, dlatego pewien istotny fakt do-tarł do mnie zbyt późno. Osobnicy tacy jak PCF nie żenią się z miłości, lecz dla korzyści. Najpierw, naturalnie, wy-korzystał mnie - nie ukrywam, że oporu nie stawiałam - po czym poślubił dziedziczkę fortuny wystarczającej na utrzymanie zabytkowego dworku i małżonka, który bez

luksusów nie umiał się obejść. Jego ojciec kiedyś postąpił tak samo.

Czas mija. Dziś dzień moich urodzin, stuknęło mi - bagatelka! - łąt dwadzieścia pięć, a ja, zamiast organizować dla znajomych odlotową imprezkę, udałam się do agencji zatrudnienia. Do imprezy jakoś nie miałam serca. Bo niby z jakiego powodu mam skakać z radości? Dwadzieścia pięć lat to całe ćwierćwiecze, a na dodatek kochany tatuś, pragnąc mnie zdołować jeszcze bardziej, uczynił coś koszmarnego, w celach wychowawczych oczywiście. Przekonał mianowicie zarządców funduszu powierniczego po mojej babce, żeby przestali mi wypłacać comiesięczną kwotę. Bo ja mam w końcu znaleźć jakąś porządną pracę i stanąć na własnych nogach.

Przed trzema miesiącami, próbując - ze znakomitym zresztą skutkiem - rzucić moją najlepszą przyjaciółkę w ramiona pewnego miliardera-płayboya, posłużyłam się łązawą historyjką o ojcu, który grozi mi cofnięciem apanaży. W związku z tym na gwałt szukam pracy, bo z czego ja biedna będę żyć.

I wykrakałam.

On zrobił to naprawdę. Naturalnie tylko dla mojego dobra...

Może nie jestem intelektualistką, jak moja siostra Kate, ale tępakiem też nie jestem. Rozszyfrowanie toku rozumowania ojca było dziecinnie łątwe. Kiedy zabraknie mi pieniędzy, skruszona powrócę do rodzinnego gniazda, dzięki czemu ojciec znów będzie miał darmową gospodynię. W głębi duszy podejrzewam, że tę właśnie rolę przydzielił mamie, lekceważąc inne aspekty, tak istotne w po-

życiu małżeńskim. Dlatego mama zdecydowała się na krok ostateczny, czyli związała z mężczyzną, z ust którego usłyszała komplement być może pierwszy od dnia, w którym podała łożysko do ołtarza, gdzie czekał na nią pan Harrington.

- A więc jak, panno Harrington?

- No cóż... Planu kariery zawodowej w pełnym tego słowa znaczeniu nie mam. Nie jestem typem, jak by to określić... akademickim, pani na pewno już to zauważyła, niemniej jednak jakieś tam mocne strony mam. Moja matka nazywa je „umiejętnościami pani domu”.

- Przepraszam, jak mam to rozumieć?

Panna Lodowata nie uśmiechnęła się. Co to, to nie. Ale kamienna twarz jakby ociupinkę zelżała.

- Na przykład układam piękne kompozycje z kwiatów. Gdyby pani widziała, co potrafię wyczarować z naręcza Rose Bay Willow Herb i Cow Parsley...

- A czy posiada pani jakiś dokument, który można przedłożyć przyszanemu pracodawcy? Składała pani egzamin w cechu kwiaciarzy?

Niestety zmuszona byłam zaprzeczyć.

- ...ale panie z Kółka Gospodyń zawsze były pod wielkim wrażeniem, kiedy eksponowałam swoje kompozycje na festynach florystycznych organizowanych przez parafię.

Nigdy żadna nie mruknęła po nosem: „Phi... zwykłe zielsko”. Fakt, że róże same w sobie były przepiękne, pochodziły przecież z ukochanego ogrodu mojej mamy. Niestety, już nieistniejącego. Bo kiedy mama doszła do wniosku, że ma dość ubrań z tweedu, psów oraz wyprze-

dąży rzeczy używanych, i razem z umięśnionym facetem od golfa przemieściła się do Afryki Południowej - mój ojciec wsiadł na traktor i wjechał w krzewy róży, które zdobywały najwyższe nagrody. Najpierw zrównał z ziemią róże, potem wyżył się na krzewinkach ziół,..

Postąpił głupio. Mama była daleko, a, jak to mówią, czego oko nie widzi, tego sercu nie żal. Ojciec natomiast pozostał na miejscu i codziennie spoglądał na swoje dzieło zniszczenia.

- Coś jeszcze, panno Harrington?

-Słucham?! Tak, tak, już...

Lodowata zaczynała mnie wkurzać. Może ja i nie walę w klawiaturę z szybkością tryliona znaków na sekundę, a jedyna operacja w komputerze, jakiej się podejmę, to wysłanie maila z mojego laptopa, ale to wcale nie oznacza, że jestem osobą kompletnie bezużyteczną.

- Mam zdolności organizacyjne. Potrafię znaleźć sponsorów dla drużyny skautów, zorganizować herbatkę dla członków klubu krykietowego albo wycieczkę dla parafian.

Naturalnie w teorii, bo nigdy samodzielnie tego nie zrobiłam. Niemniej jednak, w przeciwieństwie do mojej mądrej siostry, zawsze zajętej nauką, uwielbiałam pomagać mamie w takich przedsięwzięciach. Było to o wiele zabawniejsze niż wkuwanie do egzaminów, a ja wcale nie wybierałam się na uniwersytet. Miałam zamiar pójść w ślady mamy. Wydać się za ziemianina i resztę życia spędzić na oliwieniu kół napędzających życie społeczne i towarzyskie w naszej wiosce.

Kate, naturalnie, nie miała problemu z otrzymaniem -

i utrzymaniem - pracy. Obecnie posiadała również męża, znakomitego adwokata, który ją uwielbiał.

Szkoda jednak, że w szkole nie za bardzo przykładałam się do nauki.

- Umiem piec ciasteczka i bułeczki, w minutę zrobię pyszną kanapkę...

Nie zajmowałam się tym od chwili wyprowadzenia się z domu, co uczyniłam w wieku lat osiemnastu, by przypadkiem nie natknąć się w wiosce na PCF-a rozbijającego się nowym ferrari, prezentem ślubnym od małżonki.

- Aha, i znam jeszcze francuski.

- Biegle?

Naturalnie natychmiast zagadnęła do mnie po francusku i naturalnie dwa razy szybciej niż normalny człowiek. Sądząc po intonacji, było to pytanie, z którego nie zrozumiałam ani słowa. Dlatego szybko błysnęłam następną informacją:

- Gram na fortepianie. - Zanim zdążyła mnie zapytać o różnicę między ćwierćnutą a ósemką, dodałam szybko:

- Wiem, jak zwracać się do rozmaitych utytułowanych osób, od księcia począwszy, skończywszy na arcybiskupie...

- No to minęła się pani z powołaniem, panno Harrington - przerwała mi Lodowata, zanim zdążyłam zrobić z siebie totalną idiotkę. - Zamiast szukać pracy, powinna pani wydać się za członka rodziny królewskiej.

Zaczęłam się śmiać, niestety, jak się okazało, w tym śmiechu byłam osamotniona. Panna Lodowata nie miała najmniejszego zamiaru spuścić z tonu i pozwolić, by nasza rozmowa przerodziła się w miłą pogawędkę. Peter,

uroczy, wesoły człowiek, brak moich kwalifikacji traktował jako wyzwanie dla własnej pomysłowości, natomiast dla ponurej Lodowatej byłam prawdziwym dopustem bożym plus rozpieszczoną księżniczką, która zabiera cenny czas i jeszcze się spodziewa, że ktoś potraktuje ją serio.

- Proszę pani, naprawdę nie zależy mi na jakichś monstrualnych zarobkach. Po prostu chcę płacić rachunki.

I czasami kupić sobie jakąś lepszą szminkę. Jednym słowem, na marne pensy się nie zgodzę, nie muszą być to jednak od razu krocie. W końcu miałam ten luksus, że za komorne nie płaciłam, a to dzięki ciotce Korze, która nad londyński apartament przedkładała wilę na południu Francji.

- Rozumiem, panno Harrington. Niestety w chwili obecnej nie mamy żadnych zleceń na układanie kompozycji z kwiatów... A proszę mi powiedzieć, jak pani sprawdza się w sprzątaniu? Niektórzy ludzie dobrze zapłacą za posprzątanie czy wyczyszczenie czegoś, czego sami wolać nie dotykać. Na pierwszym miejscu znajdują się piekarniki, bardzo popularne są podłogi w łazience i w kuchni.

- Niestety, na tym polu nie mam absolutnie żadnego doświadczenia.

Apartament ciotki Kory wyposażony był w pewną damę, która zjawiała się trzy razy w tygodniu i wykonywała wszystkie czynności wymagające nałożenia rękawic gospodarskich. Płaciło jej się za godziny, w sumie niemało, dlatego wpadłam na chytry pomysł, aby wynająć pokój, który kiedyś zajmowała Kate. Dzięki temu miałabym z głowy panią od sprzątania plus kilka najważniejszych

comiesięcznych płatności. Niestety ciotka Kora mnie ubiegła i ów pokój oddała do dyspozycji pewnemu zaprzyjaźnionemu małżeństwu, „które musi gdzieś się przytulić w Londynie, zanim nie znajdzie dla siebie jakiegoś mieszkania na stałe”. Mnie nie wypadało powiedzieć, że ta sytuacja zdecydowanie mi nie leży... i tak mija miesiąc za miesiącem, a oni nadal nie mogą znaleźć sobie jakiegoś gniazdka. Bo w sumie niby dlaczego mają się spieszyć? W Londynie już się zainstalowali, i to gratis. Nie partycypują przecież w żadnych kosztach.

- A to szkoda, panno Harrington, bo zawsze znajdujemy pracę dla kogoś, kto umie posługiwać się szczotką ryżową i mopem.

- Powiedziałam tylko, że brak mi doświadczenia, co wcale nie znaczy, że nie mam ochoty spróbować.

Zdumienie, które wypełzło na wyniosłe oblicze, sprawiło mi ogromną satysfakcję. Lodowata naprawdę nie spodziewała się, że gotowa jestem paść na kolana i wsadzić głowę do zapyziałego piekarnika jakiegoś leniwego bubka.

- No proszę, co za determinacja. - W końcu się uśmiechnęła. Czuję, że przemiła osobka nie może doczekać się chwili, kiedy rzuci się do swoich plików w poszukiwaniu najbrudniejszej roboty. - Proszę być dobrej myśli. Mamy pani numer telefonu. Będziemy w kontakcie.

- Dziękuję.

Opuszczałam agencję z twardym postanowieniem. Dziś dzień moich urodzin, warto sprawić sobie prezent. Jaki? Wiadomo. Rękawice gospodarcze w najlepszym gatunku.

Wszystko będzie dobrze, powtarzałam sobie, dochodząc do krawężnika. Odruchowo podniosłam rękę. Takówka zatrzymała się, ale do niej nie wsiadłam, tylko pozwoliłam, żeby zajął ją ktoś inny.

Wszystko będzie dobrze. Za tydzień, dwa Peter wróci z urlopu, znajdzie mi jakieś zajęcie i życie wróci do normy. W większym lub mniejszym stopniu. Niestety, jak na razie moje wydatki podwoiły się, a przychód nie istniał. Dlatego żadna krzywda mi się nie stanie, jeśli zacznę oszczędzać i pojedę autobusem. Poza tym kupię gazetę i przejrzę ogłoszenia, bo odmowę przyjęcia znalezionej przez pannę Lodową pracy - obrzydliwej i odstręczającej, innej przecież mi nie proponuje - uzasadnić będę mogła tylko w jeden sposób: radośnie szczebiocąc, że sama znalazłam sobie zajęcie. Fantastyczne i wysoko płatne.

Ta wizja bardzo podniosła mnie na duchu. Rączym krokiem pomaszerowałam do sklepu, wzięłam z regału suchy pokarm dla kotów, no i sięgnęłam po wieczorną gazetę. Czekając cierpliwie, aż pani za kasą skończy flirtować z panem, który kupił magazyn dla motocyklistów - nagle doznałam olśnienia. Przecież pracy mogę szukać również w Internecie. Dzięki temu unika się wątpliwej przyjemności stawania przed kimś twarzą w twarz z poczuciem, że jest się osobą beznadziejną i niewiele wartą.

Kupiłam notes ze ślicznym kiciusiem na okładce oraz długopis kolorystycznie pasujący do notesu. Jazdę autobusem poświęciłam na studiowanie ogłoszeń „Dam pracę”. Z autobusu wyskoczyłam pełna entuzjazmu.

- Może „Big Issue”?

Oszczędzanie oszczędzaniem, jednak nie jestem bez-

domna jak ten zmarznięty mężczyzna, który sprzedaje na rogu gazety, żeby zarobić na życie.

- Cześć, Paul! Co u ciebie? Masz już gdzie mieszkać?
- Coś mi się kroi, po świętach.
- Świetnie.

Wręczyłam mu pieniądze za czasopismo i schyliłam się, żeby pogłaskać szczeniaka, czarno-białego mieszańca, karnie siedzącego przy nodze pana.

- Cześć, malutki.

Wygłaskałam go, podrapałam za uszami, dodatkowo obdarowałam funtem, co oznaczało, że zaoszczędzoną na taksówce kwotę zredukowałam prawie do zera.

- Kup mu, Paul, jakąś dobrą kość ode mnie.

Do kamienicy wchodziłam tylnym wejściem, trzeba przecież podkarmić kolejne bezdomne stworzenie, śliczną kotkę w prążki. Wyszła z ukrycia, mrużąc słodko, gdy tylko zaczęłam wysypywać pokarm do miseczki. Pogłaskałam ją i pomaszerowałam do wind, ciesząc się, że mieszkanie zastanę puste, ponieważ moi „goście”, czyli przyjaciele ciotki, znikli gdzieś na cały tydzień.

W holu czekała na mnie niespodzianka. Okazało się, że nikt oprócz mnie nie miał zamiaru zignorować moich urodzin. Portier wręczył mi plik kart z życzeniami oraz paczuszkę od mojej siostry, która aktualnie przebywała u rodziny męża na jakiejś bardzo ważnej uroczystości rodzinnej.

Dostałam też wręcz powalające kwiaty. Wielki, radosny bukiet ukochanych słoneczników - nie mam pojęcia, jakim cudem udało się je wyhodować o tej porze roku. Kwiaty od Ginny i Richa. Ze wzruszeniem pogłaskałam żółte płatki. Byłam przekonana, że podczas miodowego

miesiąca człowiek zapomina o reszcie świata. Ale nie Ginny...

W sercu by nie zakłuło, gdyby jasnorożowe róże nie były od mojej mamy.

Pociągnęłam nosem, ale się nie rozpłakałam, bo wszystkie łyzy już wylałam z powodu Perry'ego Fotheringaya. Szybko otworzyłam paczuszkę od siostry. W środku było kilka drobiazgów owiniętych w szeleszczącą bibułkę. Wielki słoik kremu przeciwzmarszczkowego, grube elastyczne pończochy na żyłki oraz majtki imponujących rozmiarów. Do tego dołączona karteczka: „Nie poddawaj się, staruszko!” i karnet na jednodniowy pobyt w luksusowym uzdrowisku.

Śmiech i odrobina luksusu. Tego zawsze potrzebowałam najbardziej.

Śmiałam się jeszcze, kiedy zadzwonił telefon. Byłam przekonana, że usłyszę chórek rozbawionych głosów, ryczących do słuchawki nieśmiertelną urodzinową piosenkę. Rzuciłam więc dowcipnie:

- Tu Sophie Harrington, samotna, seksowna, obchodząca właśnie...

Zmroziło mnie, kiedy usłyszałam głos Lodowatej.

- Panno Harrington, jak pani radzi sobie z psami? Jeden z naszych klientów na gwałt potrzebuje kogoś do wyprowadzania psów.

Bardzo zabawne, naprawdę. Lodowata sprawdza, czy nie jestem zbyt dumna na wyprowadzanie czyichś psów za pieniądze. Dumna? Uwielbiam te czworonogi i w razie potrzeby mogę poganiać z nimi gratis.

Ale jak biznes to biznes.

- Ile za godzinę? - spytałam krótko i rzeczowo. Lodowata wymieniła kwotę. Sekretarka na pewno dostaje więcej, ale ja, stawiając sprawę jasno, lepiej wyprowadzam psy niż wpisuję tekst do komputera. No i w obecnej sytuacji nie powinnam kręcić nosem

- Dwie godziny dziennie, jeden spacer rano, drugi wieczorem - ciągnęła Lodowata. - W przerwie może pani zająć się jeszcze czymś innym.

- Oczywiście. - Natychmiast stanął mi przed oczami zapyziały piekarnik. - Od kiedy miałabym zacząć?

- Od dzisiaj. Sytuacja jest krytyczna.

Domyślam się. Jakiemuś rozleniwionemu bubkowi nie chce się wychodzić na dwór i to jest właśnie ta „sytuacja krytyczna”.

- A więc jak, panno Harrington? Bierze to pani?

- Biorę.

- Świetnie. Nasz klient nazywa się Gabriel York. Ma pani coś do pisania? Podaję adres...

ROZDZIAŁ DRUGI

Spóźniłam się, ale nie z mojej winy. Bez przerwy dzwoniли ludzie, pytając w kółko, jak uczcimy moje urodziny. Nikt nie wierzył, że żadnej imprezki nie będzie. W końcu, kiedy zadzwonił Tony, spasowałam. Stanęło na tym, że o dziewiątej spotykamy się w pubie.

Podany przez Lodowatą adres przywiódł mnie do ślepego zaułka. Dosłownie. Mieszkańców tej uliczki nie gnębił żaden ruch przelotowy. Cichusieńko, domy eleganckie, ogródki wypieszczone. Po obu stronach lśniących czarnych drzwi domu, do którego miałam wejść, stały wielkie ołowiane donice, a w każdej przyszyżone perfekcyjnie drzewko laurowe. Niemal jak w ogrodach Wersalu, czyli tragedia. Człowiek przy zdrowych zmysłach, nawet gdyby musiał zamówić dźwig, kazałby usunąć to paskudztwo w sekundę.

Po tej uliczce kobiety paradują na bardzo wysokich obcasach i w kostiumach od drogich projektantów. Ja miałam na sobie ukochane džinsy oraz krótkie sztuczne futerko, które dawno powinnam oddać do ciuchlandii. Na głowie wełniana czapka naciągnięta porządnie na uszy, na nogach solidne buty, o których zapomniała Kate. Buty były trochę na mnie za duże, udało mi się jednak je dopełnić grubymi skarpetami.

Cóż, odziałam się na buszowanie z psami wśród krzaków

Battersea Park. Spoglądając jednak na przystrzyżone w gigantyczne pompony drzewka, zaczynałam się zastanawiać, czy za czarnymi drzwiami nie czekają przypadkiem pieski adekwatne do owych drzewek. Dwa pudelki miniatutki z ogonkami wymodelowanymi w kulkę. Tym stworzonkom wystarczy szybki kłusik do Sloane Square i z powrotem, który mogłabym wykonać na wysokich obcasach.

Ciekawe też, któż to taki, ten Gabriel York. Wyobraźnia podsunęła mi obraz niewysokiego mężczyzny, bardzo zadbanego, o białych, wypielegnowanych dłoniach. Koniecznie mała bródka i muszka pod szyją. Na pewno ma jakieś powiązania ze światem artystycznym i jest zdecydowanie niesympatyczny. Moje myśli były życzliwe. Trudno, ale zawsze czułam awersję do strzyżonych drzewek i strzyżonych pudli.

No i współczucie. Bo one są biedne, i pudle, i drzewka.

Gdy zadzwoniłam, psy odezwały się natychmiast. Jeden zawył, drugi z dzikim ujadaniem podbiegł do drzwi i wałnął o nie jak taran. Łomot odbił się echem po całym domu. Wizja miniaturowych pudelków rozviała się jak dym.

Nawet jeśli są to pudle, to pudle giganty.

Niestety na dźwięk dzwonka zareagowały tylko psy. Nie słychać było żadnego ludzkiego głosu i szybkich kroków, sugerujących, że drzwi zaraz staną otworem. W innej sytuacji zadzwoniłabym jeszcze raz, lecz teraz się powstrzymałam. Psy zrobiły wielki raban, więc niemożliwe, żeby mieszkaniec tego domu nie był świadomy mojej obecności. Dlatego odczekałam cierpliwie kilka minut. Wycie za drzwiami przeszło w ciche skomlenie, ujadanie natomiast ucichło, rozległo się za to energiczne skrobanie,

czyli jeden z psów usiłował podkopać się pod drzwiami. Jednym słowem, zwierzaczkę się niecierpliwią. Nic dziwnego. Spóźniłam się, a one łakną spaceru.

Przykucnęłam i uniosłam klapkę, zasłaniającą otwór w drzwiach, przez który wrzuca się listy, i spojrzałam prosto w duże wilgotne, brązowe oczy umiejscowione w psiej głowie koloru kremowego.

- Cześć - powiedziałam radośnie. - Jak ci na imię, kochany?

Pies zaskowytał.

Miał rację. Pytanie było zbędne, lecz nie potrafiłam się powstrzymać od następnego:

- Powiedz mi, czy w tym domu oprócz psów ktoś jeszcze jest?

Przysunęłam twarz bliżej otworu, a inteligentne stworzenie odsunęło się kawałek dalej, dzięki czemu mogłam dojrzeć je niemal w całej krasie. Piękny pies. Duży, smukły, pokryty krótką jedwabistą sierścią. Uszy jak pędzelki.

Szczeknął krótko i na moment odwrócił łeb, jakby chciał przekazać:

- Nie gap się na mnie, głupia, tylko popatrz tam!

Spojrzałam tam, gdzie kazał, i zobaczyłam Gabriela Yorka, uzmysławiając sobie, że tego dnia zdążyłam już się pomylić dwa razy. Wielkie psy to żadne pudle, a Gabriel York w niczym nie przypominał niedużego, ruchliwego właściciela galerii sztuki.

Ciemnowłosy gospodarz był niezłe umięśniony i na pewno miał sporo ponad metr osiemdziesiąt. Wiedziałam już, dlaczego nie otworzył drzwi. Gabriel York leżał na podłodze w holu. Nieruchomo jak kłoda.

Przypomniałam sobie łomot. Czyli taranem okazał się Gabriel York. Obok niego warował pies, ten drugi. Podniósł łeb, spojrzął na mnie przelotnie i trącił nosem swego pana w brodę, jakby chciał go obudzić. Pan się nie obudził, pies znów spojrzął na mnie, przekazując wiadomość jasną i klarowną:

- Zrób coś!

O Boże... Już, kochany, już, oczywiście...

Wyciągnęłam z kieszeni komórkę i drżącymi palcami wystukałam numer pogotowia. Naturalnie zarzucili mnie pytaniami, ale niewiele miałam do przekazania. Nic ponadto, że po drugiej stronie drzwi leży nieprzytomny mężczyzna. Kazano mi poczekać, aż ktoś się nie zjawi.

W chwili gdy się rozłączałam, uzmysłowiłam sobie, że nie powiadomiłam ich o rzeczy bardzo istotnej. Oni przecież do środka nie wejdą. Bo i jak?

Spojrzałam przez otwór na listy z nadzieją, że Gabriel York jakimś cudem się ocknął. Niestety wciąż leżał jak kłoda. Pozostawała nadzieja, że oddycha.

- Panie York... - zaczęłam szeptem, potem mówiłam zdecydowanie głośniej:.- Panie York!

Odpowiedziały tylko psy, na dwa głosy oczywiście, czyli ujadanie plus wycie, wyrażające nadzieję, że w końcu zjawi się tu ktoś bardziej użyteczny.

Ratunku! Pomocy! Przecież koniecznie trzeba coś zrobić, a ja nie mam nawet głupiej spinki we włosach, którą można by pomajstrować przy zamku. Bzdura. Przecież i tak go nie otworzę, nawet gdyby zależało od tego moje życie.

Zlustrkowałam okna sutereny. Jedyne okno, trochę uchylone, zabezpieczone było solidną kratą. Potem mój wzrok

przemknął po oknach na parterze. Wszystkie pozamykane na mur. Spojrzałam wyżej i nareszcie dojrzałam coś interesującego. Okno na piętrze było niedomknięte. A więc jest szansa. Wystarczy wspiąć się po żeliwnej rurze, którą ścieka sobie woda zebrana w rynnie na dachu.

Schowałam komórkę do kieszeni i wspięłam się na żelazną poręcz schodków, wyciągnęłam rękę i kurczowo chwyciłam rurę. Teraz jedna noga, druga ręka, druga noga... Uff... Przykłęiłam się do rury jak jakaś małpa, ale nie znieruchomiałam, o nie. Wiedziałam, że jeśli zacznę się zastanawiać, nerwy mnie zawiodą i nie zrobię niczego. A więc w górę. Ścisnęłam rurę kolanami z całej siły, wyciągnęłam ręce, chwyciłam mocno, jednocześnie odpychając się stopami. Udało się. Byłam już kawałeczek wyżej. I znów to samo. Kolana mocno przycisnąć do rury, ręce w górę, odepchnąć się. Skutecznie, ale i niełatwo. Rura była lodowato zimna i bardziej śliska, niż się spodziewałam.

Mięśnie zaczynały boleć jak diabli, przypominając, że od dawna nie zaglądałam na siłownię. A powinnam, choćby dlatego, że mój karnet niedługo straci ważność. Tak dumając, rąbnęłam brodą w zimną rurę i kawałek zjechałam.

Skoncentruj się, ty głupia krowo!

Zacisnęłam zęby i podciągnęłam się. Czy żałowaliście kiedyś, że wstaliście z łóżka i zamiast wylegiwać się pod ciepłą kołderką, postanowiliście uczynić coś dla bliźnich? Bo ja, nie ukrywam, żałowałam tego gorzko, przesuwając się mozolnie w górę po oślizgłej rurze, za którą, według wszelkiego prawdopodobieństwa, czatowało niejedno sympatyczne stworzonko o długich, włocho-

tych nóżkach. Co z tego, że pajęczki zapewne są nieszkodliwe. Gdyby przyszło mi teraz stanąć - nie, zawisnąć - twarzą w twarz z takim stworkiem, nie ma siły, wybrałabym skok na twardy, wyłożony kamieniami chodnik przed domem.

O moim wcale nie tanim manikiurze - prawdopodobnie ostatnim, na jaki mnie było stać - starałam się nie myśleć. Pał sześć paznokcie, najważniejsze, że jednym kolaniem byłam już na parapecie, udało mi się też chwycić za klamkę przy oknie. Podciągnęłam się. Uff... Stałam. Niestety, na tym koniec zdarzeń pozytywnych. Ktoś, kto smarował zawiasy przy tym oknie, stanowczo przedobrzył. Ledwie dotknęłam, okno uprzejmie otwarło się na oścież, wpuszczając mnie do środka. Grzmotnęłam aż miło o lśniącą dębową posadzkę, w ślad za mną poleciał stolik na toczonej nodze, a koło mojego ucha coś zadźwięczało żałośnie, coś, co musiało być ogromnie kruche. Słyszałam to i nie słyszałam, bo innych wrażeń było aż nadto. Rozbita broda, przegryziona warga, kolana stłuczone, jedno ramię też. Kiedy otworzyłam oczy, mój wzrok natychmiast spoczął na czymś, co zapewne było wdzięczną pastereczką z miśnieńskiej porcelany. Jeszcze przed chwilą. I jakiś głos wewnętrzny podpowiadał, że na pewno nie była to podróbka.

Przede wszystkim przeklełam najnowsze szaleństwo w wystroju wnętrz, polegające na tym, że wszyscy obowiązkowo przeglądamy się w gołej, wyfroterowanej posadzce. Bo gdyby ta podłoga przykryta była czymś grubym i puszystym, nieszczęsna pasterka, a także moje kochane kolanka, byłyby w stanie nienaruszonym.

Pozbierałam się z podłogi, zamknęłam okno, zanim

jednak ruszyłam na dół, rzuciłam ciekawskim okiem na nieznane mi wnętrze. Pokój miał charakter wybitnie kobiecy, najprawdopodobniej było to sanktuarium pani York. Pasterka z miśnieńskiej porcelany należała więc do osoby, która wzbudzała we mnie uczucia nieprzychylnie. Bo to na pewno pani York ponosi winę za dręczenie laurowych drzewek. I jeszcze jeden zarzut. Kto jak kto, ale to chyba pani York powinna latać z psami pana Yorka.

A może ona jest tam na dole i właśnie zbiera z podłogi swego nieszczęsnego małżonka... może też zadzwoniła po pogotowie.

Zbiegłam po schodach jak wichur. Jeden z psów rzucił się do mnie, omal nie podcinając mi nóg.

- Zjeżdżaj, kochany - syknęłam, odpychając go od siebie. Sytuacja była wyjątkowo nieciekawa. Ani śladu pani York, a mój pracodawca nadal leżał nieruchomo na podłodze. Przeszłam przez niego, starając się nie patrzeć w dół. Jeśli spadł ze schodów, kto wie, czy nie skreśli sobie karku, a o tym wolałabym nie wiedzieć ani na to nie patrzeć.

Otworzyłam drzwi i wyjrzałam na dwór. Żadnej karetki. Nic dziwnego, przecież to godziny londyńskiego szczytu. Czyli gorzej być nie może. Zostawiłam drzwi nieco uchylone, żeby lekarz z pogotowia i sanitariusze mogli od razu wpaść do środka, i odwróciłam się ostrożnie ku mężczyźnie, który nadal leżał jak kłoda.

Pies, warujący przy panu, po raz wtóry spojrzął na mnie wymownie:

- Kobieto! Zrób coś!
- Panie York!

Przykłąkłam obok nieruchomego ciała. Trudno było nie

zauważyć, że gospodarz tego domu, niezależnie od swego obecnego stanu, nie mógłby uchodzić za okaz zdrowia. Mizerna twarz miała żółtawy odcień, nienaturalnie wyostrome rysy jak u kogoś, kto gwałtownie stracił na wadze, do tego, zamiast zwykłego jak na tę porę dnia ubrania - było już popołudnie - czarny szlafrok i bawełniane spodnie od piżamy... Wniosek nasuwał się sam: pan York ciężko zachorował, dlatego nie może wyprowadzać swoich psów.

Poślizgnął się na schodach, kiedy zbiegał do drzwi, albo któryś z psów zaplątał mu się pod nogami. W każdym razie pan York był nieprzytomny. Może po prostu zemdłał. Oby tylko to... Ostrożnie przyłożyłam palce do jego szyi. Ciało było ciepłe, ale puls nie wyczułam. Warujący przy panu pies polizał mnie w rękę, jakby chciał dodać odwagi. Pogłaskałam go, próbując jakoś się uspokoić.

Nigdy jeszcze nie robiłam sztucznego oddychania usta-usta, jednak wiedziałam, jak to się robi, bo uczestniczyłam w kursie pierwszej pomocy, zorganizowanym przez moją mamę dla mieszkańców naszej wioski. Wydawało się to łatwe: po prostu do ust nieprzytomnego człowieka wdmuchuje się powietrze. Przedtem trzeba wsunąć mu rękę pod szyję, by odchylić głowę do tyłu w celu udrożnienia dróg oddechowych.

Spojrzałam na twarz pana Yorcka, próbując się uspokoić. Było mi to bardzo potrzebne, bo, prawdę mówiąc, nie oddychałam jak normalny człowiek, ale dziko dyszałam. Cóż, nie czułam się komfortowo, delikatnie mówiąc. Czas jednak naglił, należało zabrać się do dzieła.

Spojrzałam na usta pana Yorcka, stanowiące prawdziwy

dysonans w surowej, wymizerowanej twarzy. Były szerokie i zmysłowe, takich ust każda kobieta dotyka z przyjemnością, naturalnie w sytuacji nie tak ekstremalnej.

Maksymalnie się skupiłam i krok po kroku odtworzyłam to, co widziałam na kursie. Lewą rękę wsunęłam pod szyję, by głowa pana Yorka opadła nieco w tył, prawą dłonią objęłam podbródek, wreszcie przytknęłam usta do ust, by wprowadzić do nieruchomych płuc życiodajne powietrze.

Nieogolony podbródek łaskotał mnie w dłoń. Usta pana Yorka były chłodne, ale wcale nie zimne.

Znów musiałam się skupić na podstawowej czynności i ostrożnie wdmuchnęłam powietrze między rozchylone wargi. Kiedy skończyłam, zakręciło mi się w głowie, jakbym teraz to ja miała zemdleć. No tak, żeby coś dać, trzeba coś mieć. Zanim zaczniesz się wdmuchiwać, należy napełnić własne płuca. A więc głęboki wdech, usta do ust, wydech. I znów od początku...

Jak długo będę w stanie to robić? Jakby w odpowiedzi zadźwięczał mi w uszach pełen powagi głos instruktora podczas wspomnianego kursu: „Jeśli państwo zaczną stosować resuscytację, mającą na celu pobudzenie układu krążenia i oddychania, pod żadnym pozorem nie wolno tego przerywać, dopóki ktoś nas przy chorym nie zastąpi”.

Matko święta, kiedy w końcu zjawi się to cholerne pogotowie?!

Po raz kolejny nabrałam powietrza. Twarz pana Yorka powoli zaczynała przybierać normalniejszą barwę. Zachęcona tym, przywarłam do jego ust, skupiłam się, przytknęłam oczy...

Chłodne usta tym razem wydały mi się jakieś inne. Gdyby nie pełna grozy sytuacja, powiedziałabym nawet, że poruszyły się, zareagowały w szczególny sposób. Jaki? Ano taki, w jaki reaguje się na pocałunek.

On na pewno mnie pocałował.

O, mój ty losie...

Otworzyłam oczy. Oczy Gabriela Yorka były również otwarte. Czarne jak węgiel, błyszcząły za firanką skandalicznie gęstych i długich rzęs. Nic dziwnego, że znów zakreśliło mi się w głowie. Sama nieledwie potrzebowałam reanimacji.

Jednak rozsądek powrócił błyskawicznie. Życie zdążyło już mnie uodpornić na gęste rzęsy okalające męskie oko, niemniej czułam, że powinnam odsunąć się od Gabriela Yorka na bezpieczną odległość. Zanim jednak zrodzona w mózgu decyzja dotarła do mych nóg, męskie ramię chwyciło mnie w pól, przytrzymując z siłą, której nikt by nie podejrzewał w człowieku jeszcze przed sekundą nieprzytomnym.

- A kim, u diabła, pani jest?!

Chwileczkę! A gdzie „dziękuję bardzo”? W końcu ktoś tu komuś uratował życie!

Niestety cisnące się do ust słowa zmuszona byłam zdusić w sobie z powodów nadzwyczaj prozaicznych. W końcu los mojego rachunku za telefon spoczywał w rękach Gabriela Yorka.

- Jestem Sophie Harrington.

Wyszło szeptem, ale tylko dlatego, że prawie całe powietrze wpompowałam temu koleśowi do płuc, jasne?

Teraz wypadałoby uprzejmie podać mu rękę i rzucić stereotypowe: „Jak się pan miewa, panie York?”. Zauwa-

żyłam jednak, że obie ręce mam zajęte. Jedna nadal obejmowała męski podbródek, druga bezwiednie czyniła *coś* w stylu Florence Nightingale, czyli przesuwiała się delikatnie po czole pana Yorka. Natychmiast przestałam go głaszać i z braku bardziej błyskotliwych pomysłów, po prostu zakomunikowałam:

- Zadzwoiłam na pogotowie. Mogą tu się zjawić w każdej chwili.

- A po co, do jasnej...?

Znów bardzo szorstko i ani cienia wdzięczności. A ja dla tego faceta przesłam przez piekło!

- Stracił pan przytomność.

- Bzdura!

- Bzdura?! Oczy miał pan zamknięte, leżał nieruchomo, puls był niewyczuwalny.

- Gdzie pani sprawdzała?

- No... tutaj...

Dotknęłam palcem jego szyi w okolicy jabłka Adama. Pan York niecierpliwie przesunął moją dłoń w prawo, potem nieco wyżej.

- Sprawdza się tutaj.

Żyła pulsowała całkiem żwawo. Czyli serce Gabriela było prawie tak samo szybko jak moje.

Poruszył się, próbował usiąść. Zareagowałam natychmiast, starając się nadrobić moje ewidentne braki w niesieniu pierwszej pomocy - chodzi o ten puls, oczywiście.

- Nie wolno panu wstawać ani się ruszać. Niech pan spokojnie poczeka na przybycie lekarza.

Jednak Gabriel początkowo nie zamierzał zastosować się do moich instrukcji. Był też zbyt duży, bym zdołała go

powalić. Na szczęście po chwili wahania sam się powalił, a ja powiedziałam miło:

- Proszę się nie denerwować, wszystko w swoim czasie.

Do wypowiedzi dołączyłam słodki uśmiech, by mu uzmysłwić, że jest w dobrych rękach i może czuć się bezpiecznie.

Niestety nadał okazywał twarz nadzwyczaj ponurą. Nie szkodzi, najważniejsze, że żyje, oddycha i artykułuje logiczne słowa. Zrobiłam, co mogłam, licząc w duchu, że dalszych sensacji nie będzie. Jeszcze chwilka i dotrze do niego, kto ocalił mu życie. Wtedy skończy się sztywne ponuractwo, a na mnie spadnie deszcz gorących podziękowań i zachwytów nad moją odwagą oraz poświęceniem, dalece wykraczającymi poza obowiązki osoby wynajętej do wyprowadzania psów.

Niestety wciąż posepny pan tego domu zapytał:

- Dlaczego pani mnie całowała?

W jego głosie nie wyczułam ani cienia sugestii, że miałby ochotę na powtórkę. Przeciwnie.

Jednym słowem - kicha.

- Wcale pana nie całowałam - wyjaśniłam sztywno. Mój uśmiech szczeł gwałtownie. Co ten cały Gabriel sobie wyobraża? Że jestem jakąś wariatką, która rzuca się na nieprzytomnych facetów? I co, mam go przekonywać, że ja, primo, nie całuję nieznanym, a secundo, jeśli chcę pocałować, to na pewno nie czekam, aż pożądanym mężczyzną omdleje? - Robiłam panu sztuczne oddychanie usta-usta.

Prychnął, jakby stłumił w sobie śmiech, niewątpliwie szydęrczy.

- Sztuczne oddychanie?! To miało z tym tyle wspólnego, co...

Niestety nigdy się nie dowiedziałam, jakiego kwiecistego porównania zamierzał użyć, ponieważ w tym momencie przez drzwi, gościnnie uchylone dla lekarza z pogotowia, wpadło dwóch roślących mężczyzn w mundurach. Jeden z nich rzucił się do mnie i bez żadnego „pani pozwoli” czy coś w tym rodzaju chwycił mnie za ramię i zaczął ciągnąć w górę.

Pies warujący u boku Gabriela Yorka zerwał się z podłogi, zastawił mnie swoim ciałem, zawarczał i pokazał panu policjantowi kły. Drugi pies, dotychczas radośnie podskakujący wokół gości, też zawarczał. Kochane zwierzaki.

- Percy! Joe! Waruj!

Pies, który pierwszy podjął interwencję, natychmiast posłuchał rozkazu pana. Stłumił w sobie warkot i przywarował, jego białe kły nadal jednak były obnażone, a zadek uniesiony milimetr nad podłogą. Drugi pies zrobił to samo. Oba gotowe były do skoku. Ostrzegają: „Uważaj, palancie, jeszcze jeden nieostrożny ruch i będziesz miał z nami do czynienia”. Policjant bezbłędnie odczytał przesłanie. Puścił mnie i uprzejmie cofnął się o krok.

- Może ktoś łaskawie mi wyjaśni, o co tu chodzi?

W trakcie tego zamieszania Gabriel pozbierał się jakoś z podłogi, stanął na chwiejnych nogach i trzymając się poręczy schodów, żądał wyjaśnień.

- Tylko nie to! -jęknęłam. Spojrzył na mnie płonącym wzrokiem, pewnie po to, by głos uwiązał mi w gardle. Jednak nie ugięłam się. - Pan naprawdę powinien usiąść, panie York.

Znów na mnie spojrział wymownie, informując bez słów, że porachuje się ze mną później. Na razie jednak wziął na spytki policjantów:

- Co panowie tu robią?

- Wezwała nas pańska sąsiadka - wyjaśnił jeden z funkcjonariuszy. - Widziała, jak ta pani wchodziła do domu przez okno na piętrze.

Gabriel po raz, trzeci spojrział na mnie. Ledwie trzymał się na nogach, był bliski omdlenia, lecz mimo to jego ton był groźny i oskarżycielski:

- Czy to prawda? Weszła pani do domu przez okno?

- Musiałam przecież jakoś tu się dostać! - W środku we mnie zawrzało. Dobre sobie! To ja z narażeniem życia wspinam się po rurze jak jakiś cyrkwiec, mszcząc przy okazji pięknie zrobione paznokcie, a głupi babsztyl, ukryty za firanką, wzywa policję! Zamiast mi pomóc! - Pan leżał nieruchomo na podłodze.

- A skąd pani wiedziała, że leżę na podłodze?

Zignorowałam go i zwróciłam się do panów w mundurach:

- Jestem Sophie Harrington - przedstawiłam się elegancko. - Przysłała mnie tu Agencja Garland. Mogą panowie sprawdzić, oni za mnie poręczą. Zadzwoiłam do drzwi, nikt się nie odezwał, to znaczy żaden człowiek, tylko psy ujadły. Zajrzałam przez otwór na listy i zobaczyłam pana Yorka nieprzytomnego... - Pan York prychnął w tym momencie, więc powtórzyłam głośniej: - Nieprzytomnego! Leżał na podłodze koło schodów, o, tutaj. Nie ruszał się. Dlatego wciągnęłam się po rynnie i weszłam przez okno.

Policjanci utkwili wzrok w gospodarzu, ciekawi, jak

zareaguje na moje szczere wyznanie. Tym razem Gabriel York nie prychnął, zastanowił się tylko chwilę.

- Rozumiem - oświadczył wreszcie. - Moja sąsiadka postąpiła słusznie, ale panna Harrington mówi prawdę. Prosiłem agencję, żeby podesłała mi kogoś do wyprowadzania psów.

- Ratowanie życia wchodzi w zakres naszych usług - wtrąciłam dowcipnie, ryzykując kolejne mroczne spojrzenie czarnych oczu Gabriela Yorka.

- Bardzo mi przykro, że niepotrzebnie niepokoiło się panów - powiedział, pewnie z nadzieją, że policjanci pój-
dą już sobie, a on będzie mógł spokojnie sobie zemdleć.

Wyglądał okropnie. Najchętniej podałamby mu ramię i powolutku doprowadziła do krzesła. Oczywiście nie zrobiłam tego, bo głos wewnętrzny ostrzegał, że to najgorszy z najgorszych pomysłów.

- Nie tylko panowie zostali zaniepokojeni - rzuciłam.
- Zanim weszłam przez okno i zastosowałam sztuczne oddychanie...

- Przecież nie umarłem - warknął Gabriel.

Naturalnie, że nie. Widać przecież, że ten ledwie trzymający się na nogach sympatyczny młody człowiek zachowuje ogromną witalność.

-... wezwałam pogotowie ratunkowe - dokończyłam, starając się, aby mój głos zabrzmiał jak najbardziej obojętnie. Na zasadzie: mnie *to* rybka, czy pogotowie przyjedzie ulżyć komuś w cierpieniu, czy nie.

- Trzeba ich odwołać! - warknął Gabriel York. Był wściekły, to jasne, na siebie za swą słabość, i na mnie, że oglądam go w takim stanie.

Czyli, ogólnie rzecz biorąc, decyzję już podjęłam. Dziś wyprowadzę jego psy, szkoda przecież biednych stworzeń, ale więcej w tym domu się nie pokażą.

- Proszę, niech pan dzwoni, o ile da pan radę dojść do telefonu - stwierdziłam zimno, a potem uśmiechnęłam się miło do policjantów. - Panowie zapewne zostaną tu, dopóki nie przyjedzie ambulans?

Smycze przewieszzone były przez poręcz krzesła, a na krzesełku - proszę, jaka zapobiegliwość - leżała szufelczka i kilka plastikowych torebek, wiadomo na co. Zgarnęłam sprzęt, przypięłam smycze.

- No, chłopaki, idziemy na spacerek.

Joe natychmiast zerwał się z podłogi, radośnie merdając pięknym, puszystym ogonem. Smukłe, sprężyste ciało pokryte krótką jedwabistą sierścią drżało z podniecenia. Percy, starszy i bardziej karny, spojrział na swego pana.

Gdy dał znak ręką, oba psy rzuciły się ku drzwiom. Wyfrunęłam za nimi, uwięziona na drugim końcu naprężonych smyczy. Kiedy wypadaliśmy na ulicę, do zaułka wjeżdżała karetka na sygnale. Uśmiechnęłam się z satysfakcją. Szanowny pan York nie zdążył doczołgać się do telefonu.

Weszliśmy w zieleń Battersea Park. Kiedy spuściłam psy ze smyczy, dwa piękne stworzenia w kolorze jaśniutkiego piasku rozpoczęły swoje harce, a mnie przysłała do głowy niepokojąca myśl. Co ja pocznę z kochanymi pieskami, jeśli karetka uwięzie ich pana do szpitala?

ROZDZIAŁ TRZECI

Przenikliwy dźwięk budzika jak piła łańcuchowa kato-
wał mój biedny mózg. Takie, niestety, są następstwa nie-
spodziewanych imprez. Jesteś zaskoczona i zapominasz
o żelaznej zasadzie, która głosi, że na pusty żołądek się
nie pije, a już na pewno nie wlewa się do niego nadmiernej
ilości drinków o dźwięcznej nazwie „margarita”.

Miało być to kameralne spotkanie ze starym kumplem,
dlatego swój wygląd potraktowałam ulgowo. Postawiłam
na wygodę, żadnej oszałamiającej elegancji. Najpierw, na-
turalnie, gorący prysznic w celu zmycia pozostałości po
długim, pełnym atrakcji spacerze w Battersea Park, potem
doszczętne opiłowanie zrujnowanych paznokci. Upojną
godzinę w towarzystwie szczotki i suszarki odpuściłam
sobie, bo moje włosy wcale nie muszą być gładziutkie
i zwiewne. Pozwoliłam im wyschnąć i ułożyć się dowol-
nie, czyli każdy włoszek w swoją *stronę* jak młodziutkie
pędy dawno niestrzyżonego żywopłotu. Rozkwitający na
moim obliczu siniak został zamaskowany korektorem.
Przyodziewek był skromny: ukochane, choć niemodne już
dżinsy, luźna koszula i solidne buty. Gotowa.

Wkroczyłam do pubu. Wszyscy odstrzeleni, ja jedna
wyglądałam, jakbym szykowała się nie wiadomo do cze-
go. Tony już na wstępie nawiązał do moich urodzin, ja

oświadczyłam, że tego faktu nie przyjmuję do wiadomości. Świątujcie sobie sami. Tony wziął to za żart, a ja... No cóż, po drugiej margaricie zaczęłam bawić się świetnie.

Chwyciłam budzik, wyłączyłam koszmarne pipanie i z powrotem opadłam na poduszki. Długi spacer z piaskami tryskającymi energią na pewno dobrze mi zrobi, o ile moje nogi przypomną sobie, jak przesuwać się do przodu. No i jeśli nadal pracuję u pana Yorka.

Poprzedniego dnia po powrocie ze spaceru w drzwiach powitała mnie sama pani York. Bez słowa wręczyła mi ogromny ręcznik i ustawiwszy się w bezpiecznej odległości, bacznie przyglądała się, jak usuwam z psów grudki błota. Następnie, nadal bardzo oszczędna w słowach, poleciła mi zejść z psami do sutereny, gdzie stała pralka i znajdował się piec. Miałam nalać psom wodę do misek. Przedtem, naturalnie, poproszono, abym zdjęła buty. Czyli wszystko jasne. Pani York nie zwykła tykać psów.

Na moje zrozumienie mogła jednak liczyć. Grafitowy kostiumik kosztował niemało i ja na jej miejscu również nie życzyłabym sobie bezpośredniej bliskości dwóch mokrych, ubłoconych stworzeń.

No cóż, stan zwierzaków to była moja wina. Kiedy dochodziliśmy do jeziora, powinnam wziąć je na smycz. Nie zrobiłam tego, a kochane pieski, ujrawszy kaczki, natychmiast rzuciły się do wody, udając, że kompletnie ogłuchły.

Gorliwie wycierając mopem mokre ślady, pozwoliłam sobie spytać panią York o stan zdrowia pana Yorka. Poinformowała sucho, że Gabriel czuje się nieźle i wyszła, a ja pomyślałam sobie, że ewentualna wiadomość o bliskim

pokrewieństwie owej damy z panną Lodowatą nie byłaby dla mnie żadnym szokiem. Nic dziwnego, że księżę małżonek jest takim smutasem.

Po powrocie do domu odsłuchiłam automatyczną sekretarkę, na sto procent pewna, że usłyszę pełen satysfakcji głos Lodowatej: „Niestety, panno Harrington, nie poradziła pani sobie nawet z tak prostym zadaniem jak wyprowadzanie psów. Pan York zrezygnował z pani usług”.

Wiadomości nie było, może dlatego, że na rynku pracy brak ludzi od wyprowadzania psów. Czyli świetnie, będzie można potargować się o stawkę. Z drugiej jednak strony, może wcale tak świetnie nie jest. Lodowata wie, że do jutra rana nie znajdzie nikogo na moje miejsce, dlatego wolno mi jeszcze ten jeden raz poganiać z pieskami pana Yorka. Czyli sytuacja alarmowa, trzeba będzie koniecznie sprawdzić, czy w skrzynce odbiorczej nie ma jakichś ofert od agencji internetowej, do której zwróciłam się z zapytaniem. Warto też jeszcze raz przestudiować ogłoszenia w gazecie. Jedno już sobie wczoraj zakreśliłam. Praca w domu i - uwaga! uwaga! - ani słowa o komputerze.

Pod prysznicem zastosowałam żel, reklamowany jako wspinały środek ożywiający ciało pozbawione energii. Tego potrzebowałam najbardziej, bo choćbym miała skończyć, dziś w domu Gabriela Yorka zamierzałam stawić się punktualnie.

Nie skończyłam po drodze, do drzwi szanownego pracodawcy dotarłam żywa i w całości, choć do londyńskiego metra czułam wielki żal. Ruchome schody na stacji były nieczynne, wobec czego do wyboru miałam dwie opcje:

czekać, aż je uruchomią, lub pokonać co najmniej milion stopni. Pokonałabym je jak wichur, ale nie dziś. Moja nadgorliwość w sączeniu margarity okazała się zgubna. Na ulicę wynurzyłam się zziębnięta i ledwie żywa, a pierwsze kroki skierowałam do najbliższego kiosku, gdzie nabyłam butelkę wody i natychmiast wlałam do gardła prawie całą jej zawartość. Uff... jednak jeszcze żyję! Na tym jednak koniec radości, bo jak się domyślicie, przed domem z drzewkami wystrzyżonymi na mopa zjawiłam się z pewnym opóźnieniem.

Wyznam szczerze, że wcale nie miałam ochoty nacisnąć na dzwonek, bo jak dotychczas nic dobrego z tego dzwonienia nie wynikło. Dlatego najpierw szybciułko złożyłam sobie w duchu przysięgę: niezależnie od tego, co dzieje się za czarnymi drzwiami, po raz drugi po żeliwnej rurze wspinać się nie będę.

Nieco podniesiona na duchu nacisnęłam na dzwonek. Usłyszałam znajomy chórek, czyli radosne, niecierpliwie ujadanie na dwa głosy, i na duszy zrobiło mi się łżej. Cóż, tak prawdę mówiąc, to już od dłuższego czasu się zastanawiam, czy nie wolę psów od ludzi. Od niektórych ludzi na pewno.

Drzwi otworzył Gabriel York, naturalnie wścickły. I co z tego? Wystarczyło, że spojrzełam - i już miałam pewność. Niektórych ludzi wolę jednak od psów.

Facet na mnie działał, to oczywiste. Nawet wśród wczorajszych licznych drinków myślałam o nim nieustannie, odtwarzając w pamięci dwie chwile. Pierwszą, kiedy sztuczne oddychanie przekształciło się w coś innego, i chwilę drugą, gdy uniosłam powieki i spojrzełam w szeroko otwarte, czarne jak dwa węgle oczy Gabriela Yorka.

Tym razem wyglądał odrobinę lepiej, może dlatego, że był ogolony i ubrany w starą, spraną bluzę. Ta jasnoszara bluza utwierdziła mnie w przekonaniu, że Gabriel York na pewno nie ma nic wspólnego ze stryżeniem drzewek. To wyłącznie sprawka jego odstrzelonej żony.

Niestety, Gabriel York, tak jak małżonka, powitał mnie nader chłodno.

- Panno Harrington, czy pani zawsze stawia się w pracy z półgodzinnym opóźnieniem? A może chce pani pozbawić mnie życia?

- Oczywiście, niczego innego nie planuję. - Potrafiłam błysnąć ironią, Gabriel York wcale nie musiał mnie do tego zachęcać. Teraz jednak mogłam sobie darować, ponieważ szanowny pryncypał, mimo że odrobinę lepiej, i tak wyglądał jak z krzyża zdjęty. - A czy panu wolno już wstawać z łóżka?

- Nie - wyznał szczerze, najpewniej zaskoczony niespodziewanym atakiem. - Ale nie miałem wyboru.

Odsunął się na bok, wpuszczając mnie do środka. O wytarciu nóg nie wspomniał, ja jednak, kierowana litościwą myślą, wytarłam je bardzo starannie. Ciężko chory człowiek ma wystarczająco dużo problemów, po co dokładać mu jeszcze błotnistą ścieżkę na podłodze.

- Miał pan zamiar zrobić z psami rundkę po parku? - spytałam z odurzającą słodyczą. No proszę! Oczywiście droga pani York smyczy się nie dotknie. I gdzie ona w ogóle jest? Powinna czuwać przy mężu. Poić go gorącą herbatą, nagotować rosołku, wsunąć mężulkowi termofor pod kołdrę.

Cholera, przecież powinnam być tu pół godziny temu!

- Zamierzałem wypuścić psy do ogródka mojej bratowej. Czyli dałbym dwie plamy.

Bratowa? Nie żona? Moje serce wykonało radosny skok. Znow dowód, że facet na mnie działa, co było jednak; dziwne. W konkursie na największego ponuraka miesiąca - a nawet roku — Gabriel York byłby w ścisłej czołówce.

- Dwie?

- Tak. Pierwsza to wstanie z łóżka, co może spowodować wydłużenie się okresu rekonwalescencji pod dachem bratowej, a druga - to zbezczeszczenie świętego ogródka.

- Rozumiem.

Czyli uzyskałam obraz całości. Ta kobieta nie jest jego żoną i nie pała do niego sympatią. Więcej, ona w ogóle się nim nie przejmuje.

- Panno Harrington, czy pani zawsze się spóźnia?

- Naturalnie, że nie! - zaprzeczyłam gwałtownie, oburzona do żywego jego sugestią, nawet jeśli była tak bliska prawdy. - Wyszłam z domu o właściwej porze, niestety w drodze pojawił się pewien problem.

- Szczegóły są nieistotne, panno Harrington. Po prostu się zastanawiam, czy nie umawiać się z panią pół godziny wcześniej. Wtedy będzie nadzieja, że zjawi się pani, zanim Percy i Joe przegryzą drzwi pralni.

W kącikach oczu Gabriela pojawiły się drobnutki zmarszczki, jakby zapowiedź uśmiechu. Niestety uśmiech się nie pojawił, widomy znak, że Gabriel przypominał sobie, jak bardzo jest wkurzony. Ale mnie wszystko była rybka, najważniejsze, że nie zadzwonił do Lodowatej z prośbą o przysłanie kogoś innego.

- Naprawdę nie ma potrzeby, panie York. Może już zabiorę psy, bo bardzo się niecierpliwią.

- Owszem. Po wczorajszym dniu zostały skazane na areszt w pralni. - Wyciągnął z kieszeni ciepłutki, nagrzanego ciała klucz i położył mi na dłoni. - Proszę, to klucz do tylnych drzwi w suterenie. - W czarnych oczach coś błysnęło, mogłabym przysiąc, że wesoła iskierka. - Zwykle są zamknięte, ze względu na włamywaczy...

Godzina spędzona w towarzystwie psów niesamowicie podnosiła na duchu. Percy i Joe, wypuszczone na wolność, śmignęły między drzewa. Szalały z radości, trudno było nie cieszyć się razem z nimi. I jakoś tak się stało, że psy same wyznaczyły kierunek marszu przez Battersea Park. Niestety ku jeziora, a tu naturalnie nastąpiła powtórka wczorajszego polowania na kaczki.

Dwie płowe błyskawice runęły do wody, po chwili Percy powrócił z piórami w pysku. A więc sprawa była jasna. Percy i Joe to psy myśliwskie, nijak niepasujące do eleganckiej, snobistycznej dzielnicy Belgravia. Takie psy potrzebują przestrzeni i powinny mieszkać na wsi. W innych okolicznościach natychmiast bym zaproponowała, że zabiorę je do mojego domu rodzinnego, prawdziwego psiego raj, gdzie nikt się nie przejmuje śladami na dywanie ani zadrapaniami na drzwiach. Mama, kiedy dzwoniła, nie pytała się o człowieka, z którym spędziła trzydzieści lat swego życia, lecz o swoją starą spanielkę. Biedne psi-sko trzymało się jakoś, ale tęskniło rozpaczliwie.

Zamrugłam, zaskoczona łzą.

Niezależnie od polowania na kaczki, w parku było cud-

nie, nic więc dziwnego, że kompletnie straciłam poczucie czasu. W końcu jednak, obryzgana błotem i absolutnie szczęśliwa jak oba psy, dałam sygnał do odwrotu.

Szczęście nigdy nie trwa długo.

Gabriel York z nieciekawym wyrazem twarzy czatował na nas przy tylnych drzwiach.

- Co tak długo?! Myślałem już, że...

- Że psy mi uciekły?

- Najważniejsze, że wróciła pani cała i zdrowa. Panno Harrington, a może one pani nie słuchają? Proszę powiedzieć, wtedy ja...

- Nie ma żadnych problemów. Bardzo mi przykro, że pan się niepokoił, ale nam po prostu nie chciało się wracać do domu. Było świetnie. Chociaż... - Poszperałam w kieszeni i wyciągnęłam piórka. - Nie wiem, czy prawo zezwala na polowanie na kaczki w miejskich parkach. Ten leniwy, tłusty londyński kaczorek uszedł z życiem w ostatniej chwili. Liczę na pana, panie York, gdyby trzeba było wyciągać mnie za kaucją. Proszę powiedzieć, jaka to jest rasa?

- Saluki, czyli charty perskie. Mają doskonały wzrok. Przepraszam, powinienem panią uprzedzić. Wypatrzą zdo- bycz o wiele wcześniej niż pani.

- Nie mam do pana żalu. Kiedy poznaliśmy się, pan raczej nie był w stanie myśleć jasno. Teraz też, pozwolę sobie zauważyć, z panem chyba nie jest najlepiej. Proszę, niech pan się położy. Wytrę te dwie bestie, potem zrobię panu gorącej herbaty. - Wyglądał okropnie, jak przysłowiowe trzy ćwierci do śmierci. Wokół ust pojawiła się niepokojąca bladość, dlatego powtórzyłam polecenie, uruchamiając ten szczególny ton, jakim posługują się pielęgn-

niarki, niby słodziutki, a nieznoszący sprzeciwu. - Bardzo proszę, niech pan wraca do łóżka. Bo jeśli znów będę musiała wezwać pogotowie, tym razem dopilnuję, żeby zabrali pana z sobą.

- A pani wie, co się wtedy stanie z psami? Będą musiały iść do schroniska.

- Nie!

- Cristabel toleruje ich obecność tylko ze względu na mnie. Mieszkam tutaj, bo ktoś musi się mną opiekować, inaczej musiałbym zostać w szpitalu. Cristabel jest niezwykle wielkoduszna, niestety, stłuczona figurka z porcelany wystawiła jej cierpliwość na naprawdę ciężką próbę. Może zbyt ciężką.

- To nie były psy - wyznałam uczciwie. - Na pewno pan się domyśla, kto.

- Domyślałam się, psy także. - Zmarszczki w kącikach oczu tym razem pociągnęły za sobą akt drugi, czyli uśmiech, co prawda raczej uśmieszek, i do tego bardzo cierpki. - Ale szkoda mi Cristabel. Nie dość, że razem z psami siedzę jej na głowie, to jeszcze z mojego powodu będzie musiała tłumaczyć się w towarzystwie ubezpieczeniowym, dlaczego do jej domu niepożądany gość bez trudu wchodzi sobie przez okno na piętrze.

- Bez trudu?! Co pan mówi! Proszę spojrzeć, w jakim stanie są moje paznokcie!

Podsunęłam mu rozcapierzone palce pod nos. A on, całkiem niespodziewanie, chwycił je w swoje dłonie i dokładnie się przyjrzał czemuś, co jeszcze wczoraj było dziecięciami ślicznymi, perfekcyjnymi paznokietkami. Nagle całym jego ciałem wstrząsnęły okropne dreszcze.

- Włamywacz na pewno by się nie przejmował paznokciami. - Puścił moją rękę. - A towarzystwo ubezpieczeniowe zarzuci Cristabel brak odpowiednich zabezpieczeń, co pociąga za sobą podniesienie wysokości składki.

- Zabezpieczeń? Przecież to cud, że okno na piętrze było uchylone! Zresztą taką figurkę zawsze można sobie kupić, a...

- Naturalnie - uciał, uniemożliwiając mi dokończenie odkrywczej sugestii, że Gabriela Yorka niczym nie da się zastąpić. - Ona i tak o wszystko wini psy. Gdyby tu nie przebywały, nie byłoby całej tej sytuacji i pani nie wchodziłaby przez okno.

- Nie wchodziłabym, gdyby w domu był ktoś, kto mógłby otworzyć mi drzwi.

- Był mój brat i czekał na panią tak długo, jak tylko mógł. Niestety wczoraj miał sytuację krytyczną i w końcu musiał wyjść, a ponieważ pani wciąż nie przychodziła, wstałem z łóżka i zszedłem na dół, żeby wypuścić psy do ogrodu.

O mój ty losie... Więc to dlatego wspomniał, że chciałam pozbawić go życia. Jemu wolno robić tylko spacerki do łazienki, a ja, notorycznie się spóźniając, zmuszam go do kursowania po schodach. Dziś nawet zawędrował do sutereny.

- Panie York, pan wybaczy, ale ponawiam moją prośbę. Niech pan wraca do łóżka, zanim znów runie pan na podłogę i sytuacja wymknie się spod kontroli.

- Gabriel. - Jego głos nagle stał się łagodny. - Albo Gabe, jeśli pierwsza wersja wydaje ci się przydługa.

- Gabriel jest w porządku - rzuciłam rozluźniona. - Ja

jestem Sophie. Jeśli powiesz do mnie „Soph”, sam będziesz wyprowadzał swoje psy.

- A więc Sophie... - Czarne oczy przez sekundę przyglądały mi się bacznie. - Będę pamiętał.

- Dzięki. Ja zaś dołożę wszelkich starań, żeby zjawiać się punktualnie. - Nie miałam pojęcia, jak to zrobię, ale na pewno o tym pomyślę. - A teraz do łóżka, Gabriel.

Zabrzmiało to jakoś tak dziwnie intymnie, to zwracanie się po imieniu i wysyłanie go do łóżka. Dlatego czym prędzej zajęłam się wyłuskiwaniem ze sztucznego futerka i ściąganiem wełnianej czapki, która tak cudownie grzała mnie w uszy.

- Jesteś blondynką - stwierdził Gabriel tonem w stylu „mogłem się tego spodziewać”.

- Wiem. - Zabrałam się do wycierania psów, używając starego ręcznika, których cały stos leżał w pogotowiu. Blondynka. No i co z tego? Sama dobrze wiem, czego mi brakuje, a dowcipami o głupawych blondynkach mogę sy-pać jak z rękawa. - Czy to jakiś problem?

Cisza, więc Gabriel może już sobie poszedł. Nie, nie poszedł, bo dobiegł mnie jego głos ze sporej już odległości:

- Na piętrze, pierwsze drzwi na prawo.

- Dobrze... Gabriel, a może zrobić ci tost?

- A czy ty w ogóle przyjmiesz do wiadomości, jeśli powiem „nie”?

- Nie.

- W takim razie nie będę na próżno forsował płuc i zmilczę.

Wyszedł, a ja, wycierając Perey'emu łapy, nie omieszkałam poinformować:

- My, kobiety, już takie jesteśmy, kochany. Namolne istoty, które zawsze wiedzą, co najlepsze dla mężczyzny. Bo oni nie mają o tym pojęcia... Chociaż wiesz co, Percy? On chyba powiedział „tak”, tylko zrobił to drogą okrężną.

Percy polizał mnie w szyję na znak, że zgadza się ze mną całkowicie. Wyściskałam go, Joego też, obiecałam, że później do nich zajrzę, i powędrowałam do kuchni. Była jak żywcem przeniesiona z kolorowego czasopisma, taki dziwny przybytek, co chyba nigdy nie widział patelni w akcji.

Jednak lodówka załadowana była po brzegi i to nie było czym, lecz zdrową żywnością. Zdrową i piekielnie drogą. A więc tym Cristabel karmi swego gościa. Proszę, proszę, może jednak zanadto pośpieszyłam się w swoich negatywnych opiniach.

Nalałam do czajnika wody, naturalnie przefiltrowanej. Pokroiłam chleb - ciemny, pełnoziarnisty, na prawdziwym zakwasie, i wsunęłam kromki do tosterka. Znalazłam tacę, postawiłam na niej szklanekę soku pomarańczowego, świeżo wyciśniętego... Czy może być świeżo wyciśnięty, skoro pochodzi z plastikowej butelki? Na tacy pojawiły się również dwa talerzyki - z francuskim masłem i angielską marmoladą. Rozważałam również możliwość ugotowania jednego z gigantycznych, jasnobrązowych jajek, ułożonych w koszyczku wyścielonym prawdziwym siankiem. Uznałam jednak, że byłaby to przesada. Po jajka sięgnę jutro.

Gabriel York zostawił drzwi uchylone, nie musiałam więc używać nogi, żeby zapukać. Niemniej przed wtargnięciem do środka wypadało się ujawnić.

- Gabriel?

Żadnej odpowiedzi. Wsunęłam głowę do środka i zorientowałam się od razu, skąd ta cisza. Gabriel spał. Dotarł do pokoju, padł na łóżko i musiał natychmiast zasnąć. Postawiłam więc tacę na stoliczku koło okna, na palcach podeszłam do łóżka i zaczęłam robić miejsce na nocnym stoliku.

- Co robisz?

Aż podskoczyłam, trącając jednocześnie jakieś opasłe tomisko.

- Nie chciałam cię budzić. - Schyliłam się po książkę. Nie była to bynajmniej lektura łatwa i przyjemna, odpowiednia dla chorego, lecz książka fachowa. „Choroby tropikalne”. Na litość boską! A jakież to paskudztwo podłapał Gabriel York?!

- No to ci się nie udało - burknął.

Położyłam książkę na stoliku.

- No to ja ci coś powiem, Gabriel. Twoje szczęście, że jesteś chory. Bo gdybyś był zdrowy, każdy, nie tylko ja, zaczęłby się zastanawiać, czy przypadkiem nie masz poważnych problemów w stosunkach z innymi ludźmi.

Jego wzrok, rzecz jasna, zapłonął.

- Naprawdę?

— A tak. Każdy by zaczął podejrzewać, że jesteś ponurakiem o wyjątkowo przykrym usposobieniu.

- Ale tylko wtedy, gdybym nie był chory?

- Gdybyś nie był bardzo chory - walnęłam, podjudzana jeszcze bardziej przez jego irytację. Rozumiałam, że Gabrielowi nie jest łatwo, ale to nie powód, żeby wyżywać się na mnie. Dlatego jeszcze mruknęłam cichutko: - Tylko w przypadku zejścia wszystko by ci zostało wybaczone. Amen.

Słuch Gabriel miał świetny.

- O zejściu nie ma mowy - stwierdził sucho. - Choć malarria jest podstępna. Jeśli zaatakuję mózg, człowiek umiera w ciągu kilku dni.

- Malaria?! Wielki Boże! Ale skąd, jak? I dlaczego? Przecież na pewno istnieją jakieś środki zapobiegawcze.

- Tak. Tabletki, ale one też nie są niezawodne, zwłaszcza wtedy, gdy człowiek ich nie łyka. A lekarze pod względem łykania tabletek są wyjątkowo oporni.

- Lekarze? Czy to znaczy, że jesteś lekarzem?

- Tak. Chirurgiem. - Usiadł, wspierając się o wezgiłowie. - A więc jak, podasz mi tę herbatę? Czy to tylko dekoracja?

- O, przepraszam.

Podawałam mu filiżankę, spytałam, czy słodzi. Owszem. Sypałam więc ten cukier do filiżanki i sypałam, wreszcie powiedział „dość”. Byłam pewna, że taka ilość cukru nie wyjdzie mu na dobre, na szczęście zdołałam powstrzymać komentarz. W końcu to on jest lekarzem i wie lepiej.

- Może grzanekę? - Na odpowiedź nie czekałam. Posmarowałam grzanekę masłem i marmoladą, elegancko przekroiłam na pół, jedną połówkę wręczyłam Gabrielowi, w drugą połówkę wbiłam swoje własne zęby. Celowo. Gabriel nabierze apetytu, jeśli nie będzie jadł solo. Hm... ta zdrowa żywność smakuje nie najgorzej. Szkoda tylko, że nie przyniosłam drugiej filiżanki, bo herbatki też bym się napiła. - Od śniadania minęło sporo czasu - odpowiedziałam na jego niepozobawione ironii spojrzeoie.

- Częstuuj się, bardzo proszę - rzucił wspaniałomyślnie.

- Ale usiądź i jedz powoli, bo dostaniesz niestrawności.

Przesunął trochę swoje długie nogi, robiąc mi miejsce na brzegu łóżka. Może i rzeczywiście się zawahałam jak jakaś nastolatka, która krępuje się usiąść na łóżku prawie nieznanego mężczyzny.

- Mówię to jako lekarz - dodał nieco już podirytowanym głosem. - Siadaj.

No to usiadłam.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

- A skąd raptem malaria? - zapytałam, żeby zająć czymś swoją uwagę i choć odrobinę się uspokoić. Co zresztą było bardzo dziwne. Na litość boską! Od wczoraj mam łat dwadzieścia pięć, jest biały dzień, a Gabriel York wcale nie jest nagi! Tylko stopy. Cudowne stopy, duże, ale nie nadmiernie. Z długimi seksownymi palcami, pasującymi jak ulał do długich, seksownych palców, owiniętych wokół filizanki.

- Chyba nie złapałeś tego tu, w Belgravii?

- Nie. W Afryce Zachodniej. Współpracuję z pewną organizacją zajmującą się niesieniem pomocy medycznej. Do Afryki jeżdżę co roku i przez kilka tygodni operuję zaćmy.

A więc chirurg okulista, proszę, proszę.

Gabriel skończył swój kawałek grzanki, który zdawał się przeżuwać całą wieczność, posmarowałam więc następny i przecięłam na pół na dwa zgrabne trójkąciki. Ale nie podałam Gabrielowi jego trójkącika, o nie. Inwalidom, którzy odmawiają przyjęcia pokarmu, lepiej na siłę do ust niczego nie wpychać. Poczekajmy, aż sam weźmie.

- Dlaczego nie brałeś tabletek chroniących przed malarcią?

- Ze względu na skutki uboczne. Przeszkadzałyby mi w pracy. A poza tym, prawdę mówiąc, człowiek zawsze jest pewien, że akurat jemu na pewno to się nie przytrafi.

Kto jak kto, ale jako lekarz powinien myśleć inaczej. Taki komentarz sam cisnął się na usta, wyraziłam to jednak inaczej, w formie konstruktywnego wniosku:

- Mężczyźni są nieporadni. Potrzebna jest ci żona, która o ciebie zadba.

Świadoma, że przekroczyłam granicę wyznaczoną dla osoby do wyprowadzania psów, skwapliwie wgryzłam się w tost. Świadoma byłam również tego, że zanim skończę jeść, Gabriel zrezygnuje z moich usług. A moje rachunki opłacą krasnoludki, bo na pewno nie ja...

Tymczasem spojrzał na mnie jakoś dziwnie.

- Zgłaszasz się na ochotniczkę?

- Hm... Szczerze mówiąc, miałabym z głowy wiele problemów. Odzyskałabym kontrolę nad swoim funduszem powierniczym, zrezygnowałabym z kariery psiej niani. Z drugiej jednak strony, wzięłabym sobie na głowę nowy problem.

- Czyli faceta?

- Zgadza się. A w dzisiejszych czasach kobiecie mąż nie jest niezbędny, sama potrafi o siebie zadbać. Mężczyzna to co innego, bez kobiety jest kompletnie bezradny. Weźmy na przykład ciebie.

- Potrafię sobie wszystko zorganizować. Zareczam.

- Ale mnie nie chodzi tylko o seks! - palnęłam, podirytowana, że tak spłyca wdzięczny temat. I natychmiast zaczerwieniłam się jak piwonia.

- Mnie także. - Dokładał wszelkich starań, żeby nie

okazać rozbawienia. Skutecznie zresztą, bo twarz pozostała nieruchoma.

- Chodzi mi o konkretną sytuację, Gabriel. Gdybyś miał żonę, łykałbyś te tabletki, już ona nie dałaby ci spokoju. I stanęłaby na głowie, żeby znaleźć tabletki, które nie dają niepożądanych skutków ubocznych. A gdyby się okazało, że takie nie istnieją, wtedy po prostu by udawała, że zgubiła twój paszport.

- Twoja teoria nie jest do końca doskonała - powiedział po długim namyśle. - Takie żony dawno wyszły z mody.

- Skąd wiesz? Powiedz, tak na serio, rozglądałeś się już za żoną dla siebie?

- Nie, bo żona nie jest mi do szczęścia potrzebna. Małżeństwo to bardzo trudne zadanie. Wymaga niemałego zaangażowania emocjonalnego.

- Owszem, ale to wcale nie takie trudne.

- Tylko w teorii, natomiast w praktyce co trzecie małżeństwo się rozwodzi. Moja rodzina usilnie pracuje, żeby przeciętna krajowa nie spadła.

Chwileczkę. Czy to znaczy, że jest rozwiedziony?! A więc znów się nie popisałam, drażąc drażliwy temat. Zamiast podtrzymać na duchu ciężko chorego człowieka, pogłębiam tylko jego depresję.

- Przepraszam, niepotrzebnie zaczęłam o tym mówić... To ja już sobie pójdę.

- A za co ty mnie przepraszasz, Sophie? Za upadek mojej rodziny? Nie żartuj! - Machnął lekceważąco ręką i... uwaga, zwycięstwo!... chwycił następny kawałek tostu. - Zostań i spokojnie skończ śniadanie.

- Dobrze. Ale powiedz mi, jak to jest z twoim bratem?
- spytałam, jakby to zaproszenie upoważniało mnie do dalszej indagacji. - Przecież jest żonaty.

Znów pomilczał, po czym rzucił na mnie spojrzenie, które można było określić tylko jako pełne rozpacz.

- Musimy o tym rozmawiać, Sophie?

- Musimy. - Zabrałam się do smarowania następnej grzanki. - Bo ja, w przeciwieństwie do ciebie, jestem bardzo komunikatywna i ludzie lubią ze mną pogadać. Nie zapomnij, proszę, wspomnieć o tym kobiecie z agencji, gdyby spytała się, jak się sprawuję. A teraz opowiadaj o swoim bracie.

Tym razem poddał się bez walki. Nic dziwnego, w końcu był tylko biednym, skrajnie wyczerpanym chorobą człowiekiem.

- Michael i Crissie właściwie żyją osobno. Mają wspólny dom i łóżko, ale nic więcej. Rzecz w tym, że podstawową cechą wszystkich Yorków, i mężczyzn, i kobiet, jest ogromna determinacja w dążeniu do własnych celów. Ktoś, kto chce obdarzyć miłością któregoś z członków naszej rodziny, popełnia wielki błąd, ponieważ prędzej czy później zostaje zepchnięty na boczny tor. Crissie udaje się przetrwać tylko dlatego, że jest podobna do Yorków.

- Rozumiem. A ilu masz braci?

- Jednego, ale mam jeszcze siostrę, zajmuje się polityką.

- Naprawdę? W takim razie musiałam kiedyś o niej słyszeć.

Wyraz jego twarzy sugerował, że faktycznie trudno, bym o niej nie słyszała. Mój umysł uruchomił więc pro-

gram „przypomnij sobie” i bardzo szybko wyszukał właściwą osobę, kobietę na świeczniku, która na sam szczyt wspięła się szybciej niż krem Jersey.

- Czy Jessica York jest twoją siostrą?
- Zgadza się. Oczywiście siostrą rozwiedzioną.
- Była mężatką? Nie wiedziałam o tym.
- Bardzo krótko. Wyszła za mąż bardzo młodo i bardzo szybko swego męża przerosła.

- Och...

- Natomiast moja matka jest prawniczką, od zawsze walczy o równouprawnienie kobiet, obecnie zasiada w komisji rządowej. Tak na marginesie, również jest rozwiedziona.

- Aż strach spytać, co porabia twój ojciec.

- Czy prasuje swoje koszule? Oczywiście, że nie, do spraw przyziemnych zatrudnia gosposię, a inne potrzeby zaspokajają coraz to nowe czarujące przyjaciółki. Ojciec też jest chirurgiem, kardiochirurgiem.

- Czyli poszedłeś w jego ślady.

- Nie we wszystkim. Wybrałem wolność, żeby uniknąć rozpadu małżeństwa.

A więc nie jest rozwiedziony.

- Myślisz, że w tym wytrwasz? A co będzie, jeśli się zakochasz?

- Nie zakocham się. To nie jest obowiązkowe.

- Człowiek raczej nie ma na to wpływu - stwierdziłam melancholijnie i natychmiast wpadłam w panikę, czy Gabriel nie potraktuje tego jak zaproszenie do analizy moich spraw sercowych. Dlatego perorowałam dalej: - Robisz wielki błąd. Żonaci mężczyźni żyją dłużej niż kawalera-

wie, bo mają przy sobie kogoś, kto zajmuje się drobiazgami, rozumiesz.

- Jesteś pewna?
- Tak mówią statystyki.

Mój ojciec nigdy nie przejmował się drobnymi, przyziemnymi sprawami. Ciekawe, kiedy zacznie się staczać, pozbawiony opieki matki? Albo mojej.

Trudno, nie będę z tego powodu rozdzierać szat. Podałam ostatni tost Gabrielowi. Posłusznie wyciągnął rękę, zapomniał jednak, że w drugiej trzyma filiżankę. Gorąca herbata lunęła na jego podołek.

Wyrzucił z siebie jedno krótkie, ale bardzo dosadne słowo, zerwał się z łóżka i zaczął zdzierać z siebie mokre spodnie od dresu, ja zaś, tylko przelotnie zerknąwszy na długie męskie nogi, zajęłam się ściąganiem z łóżka kołdry, by nie dopuścić do zamoczenia prześcieradeł. Potem pomknęłam do sutereny z tą kołdrą, wrzuciłam ją do pralki, znalazłam proszek i nastawiłam odpowiedni program. Gabriel wpadł zaraz za mną i zdążył wrzucić do pralki mokre spodnie.

- Nie powinny się prać razem z białymi rzeczami - zaprotestowałam.

W odpowiedzi nacisnął przycisk „start”.

- No... dobrze. To ja pójdę po tacę.
- Nie trzeba.
- W porządku. W takim razie ja już w ogóle sobie pójdę. - Dziwnie nie miałam ochoty zostawiać go samego. Dziwna była też nadzieja, że poprosi, bym została. - Poradzisz sobie sam?

- Wydaje mi się, że wtedy będę bardziej bezpieczny. Nie wpływasz dobrze na stan mojego zdrowia.

Pomyślałam sobie, że to *i* jego strony nie fair, ale nie dyskutowałam.

- Jesteś tu po to, żeby wyprowadzać psy, Sophie, a nie opiekować się mną. Zresztą nie potrzebuję, żeby ktoś ocierał mi pot z czoła rozpalonego gorączką. Mieszkam tu, bo chciałem uciec z tego cholernego szpitala. Poza tym w każdej chwili może zjawić się gosposia, brat też na pewno zajrzy w porze lunchu, aby sprawdzić, czy psy nie naruszyły ogródka.

Koło telefonu leżał notes i długopis. Napisałam mój numer, wydarłam kartkę i podałam Gabrielowi. Zauważyłam, że drży.

- Nie powinienes chodzić na bosaka - napomniałam go surowo.

Mruknął coś i wsunął kartkę do kieszeni.

- Jeśli twój brat nie będzie mógł przyjść, zadzwoń do mnie. I nie spadaj ze schodów ani nie mdlej. - Nie czekając, aż coś tam znów burknie, ruszyłam ku drzwiom. W progu przystanęłam. - Będę wieczorem. Może ci coś przynieść? Na przykład coś lekkiego do poczytania. Książki medyczne podczas choroby nie są wskazane. Co wiesz na Clancy'ego albo Grishama?

Raczej nie był pod wrażeniem.

- Może jakąś kasetę wideo? Jakąś komedię, żebyś się pośmiał?

- Tu nie ma telewizora.

- Mam przenośny telewizorek z magnetowidem, mogę pożyczyć.

- Nie, dzięki. Przeżyję bez tego.

- A radio? Odtwarzacz CD?

Pytałam jak w transie. Zachwycona, bo ponurak wreszcie wykrztusił „dzięki”. Nawet powtórzył:

- Dzięki. Mam do ciebie tylko jedną prośbę, Sophie. Postaraj się być punktualna.

Agencja internetowa działała bez zarzutu. Moja skrzynka odbiorcza zawałona była ofertami pracy, jedna bardziej nęcąca od drugiej, naturalnie w cudzysłowie. Dlatego najpierw wykonałam telefon do firmy ogłaszającej się w gazecie pod hasłem: „Praca w domu”. Okazało się, że to znany schemat: przyślij pieniądze, my przyślemy ci narzędzia pracy. Czyli wiadomo, jacyś spryciarze chcą wzbogacić się moim kosztem. Podziękowałam, zastanawiając się zarazem, czy powiadomić o nich Rejestr Firm, niech sprawdzą. W końcu jakieś prawo w tym kraju działa!

Wróciłam do ofert z Internetu. Co my tu mamy? Telezakupy, no tak, teraz chyba jedyny biznes, który naprawdę się kręci. Potrzebny ktoś bystry i elokwentny. Hm... To ja - czy nie ja? A może wybrać karierę sprzedawcy telefonów komórkowych...

W tym momencie rozdarł się telefon.

- Panno Harrington, to pani? Mówi Lucy Cartwright, dzień dobry!

Lodowata. Moje ucho natychmiast dostało dreszczy. W kontaktach z agencjami obowiązywały stosunki kumpelskie, wszyscy byli z sobą na ty. Do tej jednak kobiety chyba nikt nie zwracał się per „Lucy”, jakoś zupełnie nie mogłam sobie tego wyobrazić.

- Dzień dobry, panno Cartwright.

- Mam tu pewną ofertę. Firma Bloomers na gwałt szu-

ka kogoś na kilka godzin dziennie. Pomyślałam sobie, że może pani będzie zainteresowana, bo z takim entuzjazmem wspominała pani o kompozycjach z kwiatów.

Bloomers?! Jedna z najbardziej renomowanych londyńskich kwiaciarni, stamtąd właśnie przywędrowały do mnie urodzinowe słoneczniki i róże. Chyba jednak myślałam się co do tej kobiety...

- Bardzo miło, że pani zadzwoniła do mnie, panno Cartwright.

- Drobiazg. Proszę, żeby przyjść po zamknięciu sklepu, o szóstej. Niestety to praca tylko na jakiś czas. Ich sprzątaczką musi poddać się jakiemuś zabiegowi chirurgicznemu.

Moje milczenie uświadomiło jej chyba, że jednak tak do końca zachwycona nie jestem.

- Panno Harrington, jeśli pani wieczorem jest zajęta, proszę powiedzieć.

Ta kobieta miała prawdziwy talent do pozbawiania mnie głosu, co stawało się coraz bardziej wkurzające. Pewnie robiła to specjalnie, więc żeby skrócić jej tę chwilę satysfakcji, odpowiedziałam szybko:

- Ależ skąd, panno Cartwright.

Popytałam o szczegóły i zanotowałam wszystko w moim, można już chyba powiedzieć: służbowym notesie z kiciusiem na okładce. Jako numer dwa, bo pierwszy to naturalnie „wyprowadzanie psów”. Na szczęście od firmy Bloomers do dzielnicy Belgravia było niedaleko.

Psia niania i sprzątaczką. Plan kariery może niezbyt błyskotliwy i raczej ubogi w perspektywy, zawsze jednak może być gorzej, a ja powolutku, lecz konsekwentnie,

tworzę sobie portfolio posad. Majątku nie zbiję, ale na swoje wyjdę. A to już coś jest.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Na pewno moi „goście”, czyli para zaprzyjaźniona z drogą ciotką, wrócili z wypadu na wieś. Naturalnie kluczy nie raczyli z sobą zabrać.

Lecz na progu ukazała się sama ciotka Kora. Ekscentryczna, młodsza siostra mojej matki i zupełnie od niej inna. Inna? Hm... Biorąc pod uwagę ostatni wyczyn mojej matki, obie siostry są bardziej do siebie podobne niż można by się spodziewać. Mama potrzebowała tylko więcej czasu, żeby ujawnić swą prawdziwą naturę.

Uściskałam Korę serdecznie. Każdemu przydałaby się taka ciotka. Hojna, trochę ekstrawagancka i pełna radości życia. Uwielbiałam ją.

- Tak się cieszę, Koro. Zostaniesz w Londynie dłużej?
- Wpadłam jak po ogień, kochanie. Zamierzam porwać cię na lunch do „Giovanniego”, zamówiłam już stolik.

Krytyczny wzrok ciotki - osoby, której poza łazienką nigdy nie ujrzysz bez pełnego makijażu - skontrolował mój wygląd.

- Kochanie, na brodzie masz jakąś plamkę. Potarłam brodę, pragnąc nie mieć żadnej brody.
- To nie plamka, to siniak.

Ciotka poczęstowała mnie kolejnym, bardzo wymownym spojrzeniem. Kobieta, która panuje nad swoim życiem, nigdy nie ma siniaków na brodzie.

- To długa historia.
- Opowiesz mi podczas lunchu. A teraz pośpiesz się, taksówka czeka.

A więc się pośpieszyłam. Włosy, ściślej gąszcz poskrę-

cany w korkociągi, zgarnęłam do tyłu i spięłam dużą klamrą z hebanu. Kochany korektor na siniak, makijaż zredukowany do muśnięcia odpowiednich miejsc mascerą i szminką. Potem już tylko szybka zmiana stroju. Popielaty skromny kostium, żakiet plus spodnie i pantofle na wążutkich, wysokich obcasach.

Po dziesięciu minutach byliśmy w drodze.

- A więc to tylko króciutka wizyta? - zagadnęłam.

- Tak, kochanie. Proszę, to dla ciebie. Wszystkiego najlepszego z okazji wczorajszych urodzin.

Wcisnęła mi do ręki małe pudełko, niewątpliwie kryjące w sobie biżuterię. Mówiłam już, że ciotka Kora jest nadzwyczaj hojna? Bo jest. Z pudełeczka wyjęłam wiktoriański wisiołek z drogich kamieni, zidentyfikowałam ametyst i perły.

- Koro, jest przepiękny.

- Kiedyś należał do twojej prababki. Podarowała mi go, gdy wychodziłam za męża. - Nieznacznie wzruszyła ramionami. - Po raz pierwszy.

A ja przyłapałam się na tym, że nagle pomyślałam o Gabrielu, który zrezygnował z małżeństwa. Woli być sam, bo nie chce, żeby ktoś przez niego płakał. Powiedziałam mu, że nie ma racji, a przecież sama tak postępuję.

- Zamierzałam dać ci ten wisiołek w dniu twego ślubu - ciągnęła ciotka. - Ale w dzisiejszych czasach mało kto się przejmuje takimi formalnościami. A szkoda.

- Przykro mi, że jesteś rozczarowana. - Wykrzesalam cię uśmiechu. -I dziękuję za fantastyczny prezent.

- Och, jeszcze nie postawiłam na tobie krzyżyka. Pewnego dnia na pewno spotkasz kogoś innego.

- Kogoś innego?
- Tak. W końcu zapomnisz o młodym Fotheringayu. Mój uśmiech znikł. Skąd ciotka wie...
- Ja wcale...

- Nie martw się, kochanie. - Czule pogłaskała mnie po ramieniu. - Chyba tylko ja jedna skojarzyłam dwa fakty. Wyprowadziłaś się z domu w dniu, w którym ogłoszono jego zaręczyny. Poza tym masz mnóstwo znajomych, ale wszystkich mężczyzn trzymasz na dystans. W każdym razie postanowiłam dać ci już ten wisiorek, zanim aksamit w pudełeczku zbutwieje. I proszę, nie traktuj go jak klejnotu koronnego. Noś jak najczęściej, póki twoja szyja jest ładna.

Czyli wspomniały prezent z podtekstem nie za bardzo dla mnie przyjemnym. Niemniej opowiedziałam Korze o prezentach od Kate, o kremie przeciwzmarszczkowym i tak dalej. Ciotka uśmieła się serdecznie, ale kiedy rozsiadłyśmy się przy stoliku, nagle przycichła.

- Koro? Coś się stało? - zaniepokoiłam się. - Powiedz szczerze, dlaczego przyleciałaś do Londynu? Przecież nie po to, by wręczyć mi urodzinowy prezent, który mogłaś wysłać przez kuriera.

- Masz rację, kochanie. - Westchnęła głęboko. - No cóż, niełatwo mi to powiedzieć, ale muszę i niczego nie będę owijać w bawełnę. Sophie, moje inwestycje ostatnio nie przynoszą wystarczających dochodów, dlatego musiałam podjąć pewne kroki. Konkretnie chodzi o sprzedaż londyńskiego mieszkania.

Przytkało mnie, w gardle zrobiło się sucho. Faktycznie, zawsze może być gorzej...

- Chcesz je sprzedać? Po cenie rynkowej?

Skąd ja zdobędę tyle kasy?

Ciotka nie odpowiedziała od razu. Dookoła gwar i szum, ludzie miło spędzają czas, tylko nasz stolik zamienił się w oazę ciszy.

Serce we mnie zamierało, kiedy stawiałam kolejne pytanie:

- Ty już je... sprzedałaś?

- Tak, kochanie, sprzedałam. Nigel i Amber po prostu w tym mieszkaniu się zakochali. Szukali czegoś podobnego, ale wiesz sama, jak to jest, kiedy poznasz ideał. Nic mu nie dorówna.

Rozumiałam to bardzo dobrze. Perry Fotheringay też był dla mnie ideałem i ja też próbowałam znaleźć kogoś podobnego do niego. Niestety, chodziło nie tylko o powierzchowność. Musiało zadziałać jeszcze to coś...

Nagle ni stąd, ni zowąd przed oczyma ukazała mi się rozzłoszczona twarz Gabriela Yorka, w uszach zadźwięczał jego poirytowany głos, kiedy odmawiał przyjęcia jakiegokolwiek pomocy. Całkowite przeciwieństwo Perry'ego, jego uwodzicielskiego uśmiechu, łagodnego głosu i oczu pełnych zachęty. A jednak... Mój puls jakoś dziwnie przyspieszył, w uszach zaszumiało. Jakbym znów wdmuchiwała w Gabriela powietrze z moich płuc.

- Od dawna nie dawali mi spokoju - mówiła Kora.
- Prosimi, błągali. Decyzję o sprzedaży podjęłam w zeszłym tygodniu, po rozmowie z moim doradcą finansowym, który jasno przedstawił mi sytuację. Jak wspomniałam, nie najlepszą.

- Bardzo mi przykro, Koro.

Machnęła lekceważąco ręką.

- Takie tam przejściowe trudności, nic więcej. A do Londynu przyleciałam, żeby sfinalizować umowę. Od ciebie zależy, kiedy zostanie podpisana.

Czyli pytanie brzmi: „Kiedy się wyprowadzisz, kochanie?”. Wiadomo, im prędzej, tym lepiej. No cóż...

- Pakowanie zajmie mi dzień, może dwa. A więc ten weekend?

- Tak szybko? Cudownie!

Ciotka rozpromieniła się, a mnie na chwilę zabrakło powietrza. Zbyt wielkie tempo, ot co. Podczas najbliższego weekendu stanę się bezdomna. Moi niby-goście podkupili mieszkanie, które od lat było moim domem. Zwiali na tydzień, żeby zejść mi z oczu, kiedy Kora będzie przekazywać mi tę hiobową wieść.

- Wydaje mi się, Sophie, że i tak nie byłabyś w stanie kupić i utrzymać tak dużego mieszkania - powiedziała łagodnie. - Na pewno nie teraz, kiedy ojciec wstrzymał ci apanaże z twojego funduszu, a ty nie masz żadnej stałej posady.

Ciekawe, skąd kochana ciotunia ma tak dokładne informacje... Nieważne. Przez lata wspaniałomyślnie udostępniła Kate i mnie swoje mieszkanie w zamian za pokrycie bieżących kosztów. Teraz potrzebowała pieniędzy i jedyne, co mogę dla niej zrobić, to nie stwarzać dodatkowych stresów.

- Takie tam przejściowe trudności, Koro - zacytowałam, też zdobywając się na promienny uśmiech. - Wszystko będzie dobrze. Martwię się tylko twoją sytuacją.

- Tym w ogóle się nie przejmuj. Po prostu na pewien

czas będę musiała zrezygnować z pewnych przyjemności, to wszystko. Sophie? A ty? Czy nie lepiej, żebyś na jakiś czas wróciła do domu?

Czyli do tatusia? Wszystko zaczynało pachnieć jakimś spiskiem. Chociaż z drugiej strony, Kora nigdy nie wykazywała skłonności do intryg, natomiast zawsze szczerze przejmowała się moim losem. Nie tylko zresztą moim.

- Twój ojciec, Sophie, bez matki kompletnie się zapuści.

Oczywiście, że tak. Ojciec, odkąd się ożenił, sam nigdy nie sięgnął po czystą koszulę. Matka dbała o niego do przesady, poza tym prowadziła dom, pielęgnowała ogród i była duszą życia społecznego w naszej wiosce. Jednym słowem, przez całe życie dawała siebie innym, aż pewnego dnia zapragnęła, żeby jej też ktoś łaskawie poświęcił trochę uwagi. Niestety, szalona przygoda bez wątpienia skończy się łzami.

- Nam wszystkim brakuje mamy - powiedziałam. - A tata, zamiast użalać się nad sobą, powinien schować dumę do kieszeni i pojechać za nią, przekonać, ile dla niego znaczy.

- Czyli do ojca nie pojedziesz?

- Absolutnie nie. Nie zastąpię mu mamy, a poza tym, jak powiedziałam, ojciec powinien wziąć się w garść i rozwiązać ten problem samodzielnie. Tak jak inni, na przykład ty i ja. A o mnie się nie martw. Na pewno znajdę sobie jakieś mieszkanie, a w odwodzie mam miejsce na kanapie u kumpla. Tak czy inaczej, do soboty się wyprawdę. Nigel i Amber mogą wracać do Londynu. - Wstałam. Nagle w lokalu zrobiło się jakby za głośno. - Przepraszam, Koro, muszę już lecieć.

Ciotka uściskała mnie wyjątkowo serdecznie.

- Dziękuję, kochanie, że tak życzliwie do tego podeszłaś. Bardzo dziękuję.

- To ja dziękuję za twoją życzliwość przez tyle lat. Gdybym mogła ci się w jakiś sposób odwdziżyć...

- O czym ty mówisz, kochanie! Lepiej powiedz, czy naprawdę musisz już iść? Odlatuję z Londynu dopiero wieczorem. Mogłybyśmy pójść razem na zakupy.

I kto tu mówił o rezygnacji z pewnych przyjemności...

- A spotkanie z prawnikiem? Mówiłaś, że chcesz podpisać umowę.

- Och! To zajmie najwyżej dziesięć minut.

- Bardzo mi przykro, Koro. Z wielką chęcią dotrzymałabym ci towarzystwa, ale mam randkę z dwoma psami, które zjedzą nogę od stołu, jeśli nie wyprowadzę ich na czas. Pędzę, bo muszę się jeszcze przebrać. Pa!

Z kawiarni wychodziłam z mocnym postanowieniem. Jeszcze raz a propos „gorzej być nie może”. Ta dewiza to przejaw bezmyślnego optymizmu, który należy w sobie tępić. Koniecznie.

Jedyne co dobre, to fakt, że byłam w porę. Dzięki takśówce, oczywiście. Kiedy podjeżdżałam pod dom, w drzwiach ukazał się Gabriel York w długim, czarnym płaszczu. Wyglądało na to, że nerwowo czatował na mnie w holu, co na pewno nie wyszło mu na dobre, bo wyglądał bardzo nędznie, jednocześnie jednak w jakiś sposób tryskał energią, a mała podróżna torba u jego stóp sugerowała, że ma plany bardziej dalekosiężne niż czatowanie na panią od psów.

Percy i Joe siedziały karnie. Gabriel wcisnął mi smycze do ręki, sięgnął po torbę i machnął do taksówkarza, żeby zaczekał.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknęłam przerażona, choć i tak wiedziałam. Facet, który wyglądał jak śmierć na choro-ragwi, wybierał się na wycieczkę.

- Wracam do domu.

- Słucham?!

- Wracam do domu -powtórzył wolniej i bardzo głośno, jakbym była głucha.

- Ale dlaczego?! Co się stało? Crissie odkryła, że wylałaś herbatę na kołdrę? Znalazła psi włoszek na dywanie? A może któryś z psów wyżarł z lodówki tę całą zdrową żywność?

- To też się mogło zdarzyć. - Po jego twarzy przemknął jakby cień uśmiechu. - Ale powód jest inny. Mój brat dziś po południu odleciał do Nowego Jorku, nie miał nawet czasu wpaść po szczoteczkę do zębów. Podobno ONZ przeżywa jakiś kryzys i tylko brat potrafi temu zaradzić.

- A więc?

- Crissie właśnie pakuje jego rzeczy i podąża za swoim mężem.

- Czy w Nowym Jorku nie sprzedają szczoteczek do zębów?

Nareszcie spojrzał na mnie.

- Oprócz szczoteczki trzeba bratu dostarczyć jeszcze wiele innych rzeczy.

Na potwierdzenie jego słów z głębi domu doszedł głośny dźwięk, oznaczający, że pokaźna liczba wieszaków do

ubrań wymknęła się komuś z rąk i poleciała na podłogę. Kobięcy głos, który rozległ się zaraz potem, sugerował, że drogiej pani York ostatecznie puściły nerwy.

- Słyszysz sama. Crissie naprawdę nie ma teraz głowy do mnie i moich psów.

- Rozumiem. Ale ktoś powinien się tobą zająć.

- Dam sobie radę.

- Naturalnie - przytaknęłam zgryźliwie.

Gabriel, by zadać kłam mojemu sceptycyzmowi, zrobił krok do przodu i niebezpiecznie się zachwiał. Nie wytrzymałam. A co tam, niech sobie warczy na mnie, ile chce!

- Powinieneś usiąść. - Stanowczo wzięłam go pod ramię.

- Usiądę w taksówce - oświadczył z ponurą determinacją. Nie odepchnął mnie, ale wiedziałam, że pozwoli się poprowadzić tylko w tym jednym kierunku. Cóż było robić... usadowiłam go w aucie, zrzedząc pod nosem:

- Powinieneś być do mnie zadzwonić, przecież zostawiłam ci numer. Przyjechałabym wcześniej.

- Dzwoniłem, ale miałaś wyłączoną komórkę.

Powiedział to takim tonem, jakbym wyłączyła ją specjalnie po to, by jeszcze bardziej utrudnić mu życie.

- Wcale jej nie wyłączałam.

Wyciągnęłam komórkę. Miałam rację, wcale nie była wyłączona. Ale bateria siadła.

- No nie... Może właśnie ktoś usiłuje mnie złapać, bo ma dla mnie robotę.

- Naprawdę?

- Nie wiem, ale takie jest moje pobożne życzenie.

- Spojrzałam na jego bladą jak ściana twarz. - Jesteś pewien, że dobrze robisz? Wyglądasz okropnie.

- I tak się czuję. Rozmowa z tobą nie wpływa dobrze na moją kondycję. - Wyciągnął z kieszeni kartkę. - Po spacerze odprowadź psy do domu. Tu jest adres.

- Dobrze. Ale pod warunkiem, że jak przyjdę, będziesz leżał w łóżku.

Nie dyskutował, zadowolili się tylko jednym groźnym pomrukiem:

- Uparta jak osioł.

- Jeśli już, to oślica - rzuciłam słodko i trzasnęłam drzwiami taksówki na pewno trochę za mocno.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy taksówka odjechała, weszłam na schodki, żeby zamknąć drzwi wejściowe. Zanim jednak to uczyniłam, w holu pojawiła się Cristabel York.

- A gdzie on? - Spojrzała na mnie lekko nieprzytomnie. - Pojechał? Niech go szlag... Nawet się nie pożegnał.

- Nie chciał pani przeszkadzać.

- Niech pani nie usprawiedliwia. - Przejechała nerwowo ręką po pełnej nieładzie fryzurze. - Co za koszmar... Z jednym Yorkiem żyć niełatwo, a co dopiero mieć dwóch pod swoim dachem!

Teraz nie miała przy sobie żadnego, lecz tę uwagę zachowałam dla siebie i stwierdziłam dyplomatycznie:

- Na pewno mają jakieś zalety.

- Oczywiście! To prawdziwi faceci, silni, energiczni, odporni na wszelkie żywioły, a przede wszystkim nieugięci. Dlatego zresztą wyszłam za jednego z nich. Zarazem jednak, właśnie z powodu tych cech, żyć z nimi się nie da. Przecież też robię karierę zawodową, mam swoją firmę. Czy to ważne? A skąd! Mam natychmiast rzucić wszystko i jechać za Michaeliem. Przynajmniej Gabriel jest na tyle przyzwoity, że nie zamierza żadnej kobiety obarczyć swoją osobą. - Zawiesiła głos, pewnie zażenowana tym, że ujawnia sekrety rodzinne obcej osobie. - Przepraszam,

panno Harrington, nie musi pani wysłuchiwać moich żalów. Proszę mi wierzyć, nie jestem wredną, pozbawioną serca bratową. To Gabriel nie chce żadnej pomocy. Z wyjątkowym talentem potrafi w zarodku tłumić u innych dobre intencje.

Trudno było tego nie zauważyć. Naturalnie, powiedziałam coś innego:

- No cóż... Ciężko chory człowiek z dwoma psami to zawsze trochę kłopotliwy gość.

- Przede wszystkim to on sam sobie stwarza problemy. Powinien zostać w szpitalu, wykurować się i wrócić do swojego domu, gdzie czuje się najlepiej. Ale całkiem stracił rozsądek, jakby chciał potwierdzić starą prawdę, że najgorszymi pacjentami są lekarze. A jeśli chodzi o psy, sama je tu przywiozłam. Myślałam, że Gabrielowi będzie przyjemniej.

- Przepraszam, a gdzie przedtem były psy? To znaczy u kogo Gabriel je zostawia, kiedy wyjeżdża z Anglii?

- U swojej bliskiej znajomej, pielęgniarce. Bogiem a prawdą, najlepiej by było, gdyby razem z psami pomieszkał teraz trochę u niej. Byłoby to rozwiązanie idealne, ale oczywiście nie chciał nawet o tym słyszeć.

A mnie oczywiście bujał, wspominając o schronisku dla psów...

Cristabel westchnęła i bezradnie potrząsnęła głową.

- Może jestem zbyt surowa.... Ta malaria zupełnie go wykończyła. Jestem przekonana, że stąd ta drażliwość i depresja. Dlatego przywiozłam mu psy, by psychicznie poczuł się lepiej.

- Na pewno tak było, pani York.

Jej twarz pojaśniała. Jak niewiele trzeba, żeby kogoś podnieść na duchu.

- Ale widzi pani, panno Harrington, co on wyprawia. Uparł się, że wraca do swojego domu. Moja sprzątaczką może do niego zaglądać nawet każdego dnia, ale to za mało. Nie powinien być zdany tylko na siebie.

- Nie.

Twarz Cristabel jeszcze bardziej pojaśniała.

- Panno Harrington! Przecież pani i tak będzie u niego dwa razy dziennie. Czy nie mogłaby pani przy okazji zainteresować się, jak Gabriel się czuje i zrobić mu zakupy?

- Ja?

Miałam uczucie, jakbym pograżała się coraz głębiej w czymś, w czym wcale nie zamierzałam być.

- Pani York, jestem tylko od wyprowadzania psów,

- Ale przy okazji może pani poświęcić Gabrielowi trochę uwagi. Proszę, bardzo proszę. Pani jest najodpowiedniejszą osobą, przecież te jego psy to jedyne istoty, na których mu naprawdę zależy. Załatwię to z agencją, zapłacę za dodatkowe godziny.

- Nie trzeba, pani York. Absolutnie. W końcu prosi pani o przysługę, którą każdy dobry sąsiad zrobi bez wahania.

Faktycznie, co za kłopot zapytać Gabriela, jak się czuje i czy jadł śniadanie, przynieść z supermarketu gotowe danie do podgrzania w mikrofalówce... Drobiazg.

Psy parły do drzwi, ledwie mogłam utrzymać smycze. Cristabel chwyciła za notes leżący obok telefonu, wyrwała kartkę i szybko coś na niej napisała.

- To nasz nowojorski numer. Gdyby coś się działo, proszę zadzwonić. Dobrze?

- Dobrze.

Psy były już za drzwiami. Ja jeszcze przed. Chwyciłam kartkę, w tym samym momencie rozdzwonił się telefon. Cristabel chwyciła za słuchawkę, zdążyłyśmy się jeszcze do siebie uśmiechnąć i psy zwyciężyły. Biegiem wypadłam na ulicę.

Kochane pieski miały okazję się wyżyć, gnając galopem przez rozległe tereny wokół Royal Hospital w Chelsea. Tempo narzuciłam ostre, bo drogę znałam tylko ogólnie. Gabriel podał swój adres na Pimlico, ale nic na temat, jak tam trafić. A ja spieszyłam się, targana niepokojem, w jakim znajdę go stanie.

Mieszkał w niewielkim białym domku na terenie dawnych stajni zaadaptowanych na garaże. Drzwi domku, pomalowane kiedyś na czarno, straciły już blask, tak samo mosiężne okucia chyba od wieków nie zetknęły się z żadnym środkiem czyszczącym. Nie zauważyłam sadystycznie strzyżonych drzewek. Owszem, była olbrzymia kamienna donica, ale to coś, co w niej zasadzono, dawno zakończyło swój żywot.

Gdy otworzyłam drzwi, Percy i Joe wtargnęły do środka, zachwycone, że wróciły na stare śmieci.

- Gabriel!

Miałam zaledwie kwadrans, żeby nalać wody psom, sprawdzić, czy ich pan znowu nie zemdlał i pognać do kwiaciarni.

Zarazem rozglądałam się, nie ukrywam, z wielką ciekawością. Cały parter zajmowała wielka kuchnia połączona z pokojem dziennym. Stało tu kilka foteli i ogromna

stara kanapa przykryta narzutą. Na tej kanapie spoczęły oba psy.

Za oknem widać było niewielki ogród. W tylnych drzwiach dostrzegłam specjalną klapę, czyli drzwi dla psów, sterowane elektronicznie. Czujnik reaguje na chips wmontowany do obroży. Psy mogą sobie wchodzić i wychodzić, kiedy dusza zapragnie. Nie jest tu, co prawda, jak na wsi, ale na pewno o wiele przyjemniej niż w suterenie pani York.

Nalałam do misek wodę, wysypałam psi pokarm, a ponieważ Gabriel wciąż nie dawał znaku życia, ruszyłam na poszukiwanie.

Znalazłam go w sypialni na tyłach domu. Musiał czuć się naprawdę kiepsko, bo zrobił to, co mu kazałam, czyli położył się do łóżka. To znaczy zrzucił buty, owinął się kołdrą i zasnął. Nie zdjąwszy nawet płaszcza.

Spojrzałam na zegarek. Niestety nie było już czasu na interwencję. Jeśli będę biec przez całą drogę, może w kwiaciarni zjawię się punktualnie.

Wyrwałam kartkę z notesu z kiciusiem na okładce i napisałam:

Ja tu jeszcze wrócę!

Położyłam kartkę na stoliku przy łóżku i już mnie nie było. Galopując po zielonych trawnikach koło Royal Hospital, pomyślałam, że to, co napisałam na kartce, wcale nie brzmi jak obietnica złożona przez osobę życzliwą. Brzmi raczej złowieszczo.

Dziewczyny od Bloomersa były świetne. Wpadłam do kwiaciarni czerwona jak burak i trzymając się za przepo-

nę, z trudem wydyszałam przeprosiny za kilka minut spóźnienia. A trzy żwawo krzątające się dziewczyny wybuchnęły głośnym śmiechem.

- Usiądź, kochana, i złap oddech - powiedziała jedna z nich. - Zresztą nam też należy się mała przerwa na herbatę. Greta, nastaw wodę.

- Jeszcze raz bardzo przepraszam, że musiałyście na mnie czekać...

- I tak będziemy tu siedzieć do bladego świtu, bo szykujemy kwiaty na jutrzejszy ślub. Wszystko jedno, czy posprzątasz o szóstej czy o siódmej, jasne?

- Jasne. Dzięki.

Odczekałam chwilkę, przestałam dyszeć i rozejrzałam się dookoła nieco przytomniej. Zaplecze zastawione było wiadrami pełnymi kwiatów, wśród których krzątały się zakutane w płaszcze dziewczyny. Dwie wyjmowały kwiaty z wiader i podawały trzeciej, a ta w niewyobrażalnym tempie robiła śliczne bukiety, które ozdobią kościelne ławki. Była to droga ekstrawagancja, ślub szykował się więc znamienity.

- A któż to taki wychodzi za mąż? - spytałam. - Jakaś panna z rodziny królewskiej?

- Panna z funduszem powierniczym - wyjaśniła Greta. - Nie mamy pojęcia, ile kosztować będzie cała ceremonia, wiemy tylko, ile dostaniemy za kwiaty, i wierz mi, wcale nie narzekamy, że siedzimy po godzinach. Słodzisz?

- Nie, dziękuję.

Panna z funduszem powierniczym. Coś jak ja. Chociaż nie, bo obecnie jestem tylko panną. Mój fundusz powierniczy jest dla mnie niedostępny.

Chwilowo, bo kiedyś to się zmieni. Nagle poczułam się głupio, że tak siedzę z tymi dziewczynami, popijam herbatkę i udaję, że jestem jedną z nich. Robotnicą, a nie kimś, kto od urodzenia wyposażony jest w to i owo, nie mówiąc o pozycji społecznej. I żyje z dnia na dzień. Bo co ja właściwie robię? Latam sobie z jednej pracy do drugiej, nie zastanawiając się nad przyszłością. Jak jakiś motylek, którego natura nie obdarzyła mózgiem.

Nagle spojrzałam na siebie oczami panny Lodowatej i zrozumiałam, dlaczego jest na mnie taka cięta. Szczerze mówiąc, i tak traktuje mnie łagodnie. Bo i co to raptem było za sprzątanie... Kiedy patrzyłam na czerwone, zgrabiące od zimnej wody ręce dziewczyn, moje latanie z mopem zdało mi się zwykłą rozrywką.

Popracowałam godzinę i to wszystko. Kiedy żegnałam się, dziewczyny kazały mi wziąć trochę kwiatów, które nie nadawały się do bukietów. Śmiały się, że to dodatkowy profit z pracy w kwiaciarni. A ja prawie się wygadałam, że wczoraj właśnie w tej kwiaciarni ktoś zamówił dla mnie dwa wspaniałe bukiety. W ostatniej chwili ugryzłam się w język. Dziewczyny jeszcze pomyśla, że jestem bogatą idiotką, która pracuje, bo ma takie widzimisię albo z kimś się założyła. A one były super i zależało mi, żeby myślały o mnie dobrze. Dlatego podziękowałam gorąco, wybrałam kilka kwiatków i ułożyłam pachnący bukiet.

Idąc w kierunku Pimlico, próbowałam myśleć o sprawie najpilniejszej, czyli o przeprowadzce. Do niedzieli muszę znaleźć sobie jakiś ką do spania. Pierwszy krok już uczyniłam, nagrywając się Tony'emu na pocztę głosową. Może Tony już się odezwał, ale co z tego, skoro bateria

w mojej komórce siadła. Jednak trzeba wreszcie ruszyć z pakowaniem...

Szło mi się jakoś dziwnie. W głowie trochę się kręciło, może od zapachu lilii, a może z braku snu. Nogi jakby nie były moje, niosły mnie ciężko, co oznaczało, że cały ten problem przygniata mnie do ziemi. Do domu Gabriela wkraczałam z ulgą, choć nie planowałam żadnego odpoczynku. Dwie czworonożne bestie rzuciły się na mnie z czułym powitaniem, pewnie pełne nadziei, że nakarmię je jeszcze raz.

Pachnący bukiet wstawiłam do dzbanka i ziewając szeroko, ruszyłam na piętro, do sypialni Gabriela. Czyli to faktycznie brak snu. Spać poszłam późno, a zerwałam się razem ze skowronkami i cały dzień byłam w biegu.

W sypialni było bardzo zimno. Cóż, gdy ja szalałam z mopem, Gabriel obudził się, otworzył okno i zrzucił płaszcz. Teraz niby znowu spał. Niby, bo rzucał się niespokojnie, coś mamrotał. Położyłam dłoń na jego czole. Było rozpalone.

Zamknęłam okno, choć rozgorączkowanego Gabriela należałoby właściwie schłodzić. Z drugiej jednak strony, nie chciałam do jego cierpień dokładać jeszcze zapalenia płuc.

Wyszarpnęłam kołdrę z kurczowo zaciśniętych palców. Gabriel był tą kołdrą oplątany i kiedy udało mi się go w końcu z niej wydobyć, temperatura naszych ciał zapewne była jednakowa. Gabriel przez sen jakby starał mi się pomóc. Musiało go to bardzo zmęczyć, teraz leżał spokojniutki, dając mi szansę na rozpięcie paska od spodni. Ściąganie spodni było wyczynem nie lada, miałam przecież do czynienia z bezwładnym ciałem o bardzo długich nogach.

No, spodnie ściągnięte. Gabriel leżał jak Moda, ubrany tylko w koszulę i bokserki, szare i bardzo obcisłe. Ściśle przylegające do, co tu ukrywać, nadzwyczaj seksownych bioder.

Oczywiście te biodra wcale nie zainteresowały mnie nadmiernie. Oderwałam przecież od nich wzrok i zesłam na dół, żeby znaleźć coś do picia. Lodówka, jak się spodziewałam, puściutka. Dla chorego pozostała więc tylko kranówka.

Woda w bojlerze zimna. Nic to, znalazłam czajnik, postawiłam na palniku. Zaraz będę nacierać Gabriela ciepłą mokrą gąbką, żeby go rozgrzać. To konieczne. Kiedy znów sunęłam na górę, nogi ugiwały się pode mną. Czułam się jak uboga krewna z wiktoriańskiego melodramatu, którą rodzina wydelegowała do czuwania przy chorym.

Za późno. Kiedy dotarłam do Gabriela, okazało się, że już ochłódł. A nawet bardziej niż ochłódł, bo dostał okropnych dreszczy.

Pewnie powinnam była się poddać i wezwać pogotowie, ale na samą myśl, że znów musiałabym wlec się po schodach, robiło mi się niedobrze. Bolało mnie wszystko. Nogi, krzyż i ręce od machania mopem, do czego przecież nie przywykłam. O głowie nawet nie wspominam.

Macie więc obraz całej sytuacji. Gabriel potrzebował ciepła, a ja przecież byłam ciepła i desperacko pragnęłam się położyć.

Ściągnęłam sweter, spodnie i opadłam na łóżko. Z kursu pierwszej pomocy zapamiętałam coś niecoś na temat przekazywania ciepła w przypadku hipotermii. A z tym właśnie miałam do czynienia. Dlatego wyciągnęłam się obok Gabriela, przyłożyłam policzek do jego ramienia,

a reszta mojego ciała przylgnęła do reszty jego ciała. Przykryłam nas kołdrą, wtuliłam się w Gabriela jeszcze mocniej i tak oto rozpoczął się proces przekazywania ciepła. To nie potrwa długo. Jak tylko chory przestanie się trząść, wstanę i pojadę do domu.

- Powiedz mi, czy ja przypadkiem o czymś nie wiem?

Otworzyłam oczy. Leżałam twarzą w twarz z Gabrielem Yorkiem. Wyglądał na nieco zmieszanego. To nie był niepokój, rozumiecie, tylko właśnie zmieszanie, aż nadto widoczne w czarnych oczach.

Rozumiałam go. Sama walczyłam z ogromnym zmieszaniem, gorączkowo starając się odtworzyć sobie bieg wypadków, które doprowadziły do tego, że ocknęłam się w ramionach Gabriela Yorka w jego łóżku.

Opanował się pierwszy. Zmieszanie znikło, wróciło zwykłe spojrzenie Gabriela Yorka, chłodne i czujne. Lecz przysięgam, że uśmiechnął się lekko. Leciuserńko, przełotnie, ale jednak, a w czarnych oczach mignęła iskierka.

Powód do śmiechu miał. Bo nie tylko moja twarz była blisko, ale całe moje ciało po prostu na niego napierało. Pierś wsparta o pierś, udo o udo, biodra połączone w całość. Był ranek, wychodziło więc na to, że całą noc przespaliliśmy splełani z sobą jak para kochanków, zarazem niewinni jak niemowlęta.

Teraz sprawa intymna. Podniecenie Gabriela. Trudno było nie wyczuć, w końcu reakcja jak najbardziej prawidłowa u mężczyzny, który trzyma w objęciach kobietę. Z tym jednak łączył się fakt bardziej niż zaskakujący. Bo niby dlaczego moje ciało, omotane od lat jakby chustą

zabezpieczająca, pozbyło się jej migiem i rozgorzało w środku. Czyli szok. Bardziej niż szok, bo moje nieposłuszne ciało wcale nie miało ochoty uczynić nawet najlżejszego ruchu. Po prostu, o zgrozo, pragnęło pozostać tam, gdzie było. W objęciach Gabriela Yorka, nawet wtulić się w niego jeszcze mocniej...

Czyli koniecznie trzeba było skoncentrować się na czymś innym.

- Miałaś wysoką gorączkę - poinformowałam rzeczowo. - I okropne dreszcze.

- Rozumiem. Zastosowałaś terapię, której nauczyłaś się na tym swoim kursie.

- To był stan wyjątkowy. Wydawało mi się, że ta metoda najlepiej wpłynie na poprawę sytuacji. Przekazywanie ciepła, rozumiesz?

- Raczej wymiana.

- Niech będzie.

- Nie zrozum mnie źle, Sophie, na nic się nie uskarżam. Twoja metoda na pewno jest bardziej efektywna niż wleczenie człowieka do karetki.

Efektywna... Ciekawe, co ma na myśli. Ale nie, nie będę się uśmiechać, dopóki on łaskawie się nie uśmiechnie.

Odchrząknęłam dwa razy, co pomogło mi zachować wyraz powagi.

- Myślałam o sprowadzeniu pogotowia. Wiedziałam jednak, że ty za Boga nie będziesz chciał z nimi pojechać i w końcu pociągną mnie do odpowiedzialności za niepotrzebne wezwanie. A ja i tak mam tyle na głowie...

- Konkretnie co?

- Szukam jakiejś przyzwoitej pracy... - Takiej, w trak-

cie której nie łąduje się w łóżku szefa. - Poza tym w ciągu najbliższej doby muszę znaleźć sobie jakieś mieszkanie. A dzień mam raczej zajęty. Wyprowadzam twoje psy, wieczorem sprzątam w kwiaciarni.

- Faktycznie, harmonogram napięty, a mimo to znajdujesz jeszcze czas, żeby bawić się w mojego anioła stróża.

Wcale nie czułam się jak anioł, informowanie jednak o tym nie leżało w moim interesie. Poza tym ktoś, kto ma na imię Gabriel, na pewno na aniołach zna się stokroć lepiej ode mnie.

- Ktoś musi - mruknęłam.

- A ja jestem zadowolony, że to właśnie ty. Masz prawdziwy dar niesienia pierwszej pomocy.

- Żaden dar. Wszystkiego nauczyłam się na kursie.

- Nie, Sophie. Metod, jakie ty stosujesz, nie uczą na żadnym kursie.

Chciał się uśmiechnąć, ten uśmiech dosłownie wisiał w powietrzu... ale nie, twarz pozostała nieruchoma, nie pojawiły się na niej te seksowne zmarszczki, na widok których kobietom trzęsą się nogi. Lecz czarne oczy zrobiły się jakby ociupinkę cieplejsze i to Gabriela zdradziło.

- A właśnie że tak. Byłam w sekcji, gdzie uczono nas, jak powinniśmy improwizować, na przykład kiedy ktoś zgubi się w górach.

- Wtedy należy przytulić się do niego i ogrzać. No, może i tak.

- Oczywiście! W górach temperatura gwałtownie spada, ciało może ulec hipotermii i wtedy.

Nagle zdałam sobie sprawę, że plotę trzy po trzy fachowcowi, który to wszystko ma w małym palcu. Nieza-

leżnie jednak od tego, co by szanowny pan doktor nie mówił, moja metoda okazała się efektywna. Tego ranka Gabriel wyglądał - i brzmiał - o wiele lepiej.

Może w końcu powinnam się od niego odsunąć...

- Co o tym sądzisz, byśmy twoje metody przerobili jeszcze raz? - oświadczył nagle i wcale nie zabrzmiało to złośliwie. - Najpierw zastosowałam interesującą wersję sztucznego oddychania metodą usta-usta...

Interesująca wersja! Prychnęłam, by dać wyraz oburzeniu. Na tym koniec, bo Gabriel pochylił głowę i suchymi wargami musnął moje usta. Wystarczyło, aby całe moje ciało doznało ekstremalnego szoku. A moje biedne, przez tak długie lata osowiałe serce, waliło jak młot.

- Teraz przejdźmy do przekazywania ciepła....

Czułam, jak napinają się mięśnie jego ręki, obejmującej moje plecy. Druga dłoń, która - uzmysłowiłam to sobie poniewczasie - ogrzewała moje pośladki, przysunęła te pośladki jeszcze bliżej. Niby chodziło o milimetry, ale i tak omal nie zabrakło mi powietrza.

Dałam jednak radę wymamrotać:

- Myślę, że nam obojgu jest już za gorąco.

Potem pomyślałam sobie, że to ja go przygniatam, nie mam więc prawa się uskarżać. Ale tak w ogóle to dość już tego przyciskania, nawet jeśli Gabriel tylko żartuje.

Żartuje? On? Ten srogi doktorek? Nie, to niemożliwe.

W takim razie sytuacja robi się alarmowa.

- Co za dużo, to niezdrowo - oświadczyłam. - Za gorąco. A przedawkowanie, o ile wiem, może spowodować powrót dolegliwości. Krótko mówiąc, znowu będziesz miał gorączkę.

Mój top w nocy podsunał się do góry, koszula Gabriela również. Mój nagi brzuch wciśnięty był w nagą przepone Gabriela, moje uda wydawały się dziwnie miękkie w porównaniu z twardością męskich nóg. Ciepła skóra przy ciepłej skórze. Wszystko to razem było nadzwyczaj niebezpieczne, jeden nieopatrzny ruch może doprowadzić do katastrofy.

Wystarczyło podać mu usta.

I wtedy mnie puścił. Właściwie się nie poruszył, tylko jego ręce znikły, żadna z nich nie przesunęła się kusząco po mojej nodze albo po głowie, żartobliwie i pieścizotliwie targając włosy. Nic z tych rzeczy. Po prostu nie ma i już.

Moja noga czuła się rozżalona.

Moje włosy i tak już były potargane, ale przecież nie o to chodziło.

Lecz moja głowa nadal przeżywała cudowne doznania i wcale nie wysyłała sygnału do odwrotu. Otrzeźwił mnie dopiero głos Gabriela:

- Już prawie dziewiąta, Sophie. Zdajesz sobie sprawę, że znów spóźnisz się do pracy?

A więc kubeł lodowatej wody... Cóż, sprężyłam się. Silna, zwarta, gotowa. I zaraz zaczęłam żałować, że nie należę do dziewczyn, które zawsze mają z sobą zapasowe figi i szczoteczkę do zębów.

- W kieszeni mojego płaszcza znajdziesz portfel. Weź pieniądze na taksówkę i jedź do domu. Psy mogą poczekać z godzinę.

- Czytasz w moich myślach?

- Nie muszę, ja to wiem. Po nocnym dyżurze myśli się

tylko o jednym. O prysznicu. Aha, weź klucze, żebyś mogła z powrotem wejść do środka. Dam ci potem zapasowe, jak je znajdę.

Od razu stałam się czujna.

- Zapasowe klucze? Chwileczkę, Gabriel. Chyba nigdzie się nie wybierasz?

- Nie. Mam zamiar robić to, co zarządził mój anioł stróż, czyli nie ruszać się stąd. Wspomniałaś, że szukasz tymczasowego lokum. Tak się składa, że mam wolny pokój. Możesz go zająć. - Ułożył się na plecach i zamknął oczy, jakby sprawa była skończona. Choć nie, bo jeszcze dodał: - Dzięki temu nie będziesz miała żadnego usprawiedliwienia, kiedy spóźnisz się do pracy.

Na usta cisnęły mi się tysiące słów. Z jednej strony stanowczy sprzeciw plus kwiecisty przekaz, co może sobie zrobić ze swoimi zapasowymi kluczami. Z drugiej strony radosny bełkot, serdeczne podziękowania, nawet pojawiła się ochota, żeby rzucić się Gabrielowi na szyję.

Wybrałam kompromis.

- Nie jesteś głodny?

- Nie. To uboczny skutek malarii. A jeśli naprawdę chcesz zabawić się w siostrę miłosierdzia, możesz przed wyjściem przynieść mi wody.

Sięgnęłam po szklanke na stoliku przy łóżku. Była pusta...

- O Boże!

Wczoraj wieczorem postawiłam tu pełną szklanke. Teraz była pusta, obok stała buteleczka wypełniona tabletkami, której wczoraj nie było. Oznaczało to, że Gabriel w nocy obudził się, wstał, poszukał swoich tabletek i wrócił do łóżka. Położył się, objął mnie i zasnął.

Pewnie myślał, że ma halucynacje.

- Możesz mi zaufać - powiedział, znów jakby czytając w moich myślach.

- Wiem. W końcu jesteś lekarzem.

- Nie martw się, nie zamierzam przy okazji załatwić sobie taniej pielęgniarki.

- To dobrze.

Przyniosłam wodę i na odchodnym powiedziałam:

- Wrócę niebawem.

Gabriel, chowając się pod kołdrą, mruknął:

- Przed wyjściem nakarm psy, dobrze?

Chwyciłam klucze, z portfela wyciągnęłam dwudziestofuntowy banknot, zamówiłam taksówkę, nakarmiłam pieski.

Wypadłam na dwór, w głowie wielki dylemat.

Mogę spać na kanapie u Tony'ego, Tony z ochotą da się wykorzystać. Będę miała dach nad głową, póki nie podreperuję swojego budżetu. O matko... Oby nie było to marzenie ściętej głowy...

Mogę wrócić do domu. Wtedy zachwycony będzie ojciec, podobnie jak Kate, Kora i - najpewniej - mama. Czyli wszyscy, których kocham jak wariatka.

Mogę skorzystać z zaproszenia Gabriela Yorka. A to nie zachwyci nikogo.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pierwsza opcja wcale nie była idealna, bo mogła obudzić nadzieję Tony'ego na coś więcej, a konkretnie na to, że poniecham kanapy i zagoszczę w jego łóżku. Czyli może dojść do sytuacji nieprzyjemnej.

Draga opcja oznaczała przyznanie się do porażki. Czyli lepiej jednak skorzystać z kanapy Tony'ego. Tak naprawdę nie chodzi bowiem o porażkę, ale moje twarde przekonanie, że tata powinien sam zmierzyć się ze swoim bolesnym problemem.

Przejdźmy do opcji trzeciej, po prostu idiotycznej. Przecież o Gabrielu Yorku wiem tyle co nic: jest chirurgiem okulistą, ma brata Michaela, który zamierza zbawić świat, bratową Crissie, bardziej mu życzliwą, niż do tego się przyznaje, oraz dwa cudowne pieski. I jeszcze coś. Gabriel York jest pierwszym mężczyzną, który mnie pociąga od tej smutnej chwili, gdy Perry Fotheringay tak brutalnie mnie odepchnął.

Innymi słowy, Gabriel York jest mężczyzną, którego stanowczo powinnam unikać. Zaufaj mi, jestem lekarzem... Głupie gadanie, jest przede wszystkim mężczyzną, czy nie tak? Dobrze wyczułam jego chęci, kiedy tak sobie leżeliśmy. Na szczęście facet jest jeszcze zbyt słaby, żeby się do mnie dobrać.

Ale kiedyś wyzdrowieje.

Jednocześnie trzeba przyznać, że lubi ryzyko. Przecież wie o mnie jeszcze mniej niż ja o nim. Przede wszystkim nie wie, że jestem panną z funduszem powierniczym, chwilowo, co prawda, niedosiężnym, niemniej ten fundusz istnieje i kiedyś znów będzie do mojej dyspozycji. Wystarczy przekonać ojca, że nie powinien robić takich numerów, czyli manipulować funduszem, by pokierować moim życiem. Albo muszę wyjść za mąż. Albo po prostu dobić do trzydziestki.

Poza tym mogę być złodziejką i pewnego dnia, gdy Gabriela zmorzy sen, dokładnie wyczyszczę mu mieszkanie. Pieniądze, karty kredytowe i tak dalej.

Mogłabym też porwać psy. Nie kidnaper, a psinaper. Słyszałam o takich przypadkach. Porywają komuś ulubionego zwierzaka i każą za niego zapłacić słony okup.

Chwileczkę, zdaje się, że to ja mam halucynacje. Odbiło mi. Albo i nie, po prostu staram się opóźnić podjęcie decyzji, która i tak na pewno zapadnie.

Gabriel jest ciężko chory, a ja, gdy tylko tracę go z oczu, z każdą minutą coraz bardziej się niepokoję o niego. Taka już, niestety, jestem. Serce zawsze mi się ściska na widok istoty potrzebującej pomocy. Weźmy na przykład śliczną kotkę w prążki, koczującą w piwnicach kamienicy przy Chandler Reach. Kto będzie dawał jej jedzonko i różne środki przeciwko pchłom i innym kocim utrapieniom? Kiedy mnie zabraknie - nikt.

O Gabriela też mogę zadbać. Sprawdzić, czy ma leki i coś do zjedzenia, być przy nim, kiedy poczuje się gorzej. Od czasu do czasu zadzwonię do Crissie, żeby uspokoić jej sumienie.

Przekonawszy siebie, że robię dobrze, spakowałam się w mig. Ponieważ lodówka Gabriela była pusta, do wielkiej torby na zakupy przełożyłam zawartość mojej lodówki. Zostawiłam też karteczkę do nowych właścicieli mieszkania z prośbą, by resztę moich rzeczy przesłali do mojego domu, do Berkshire. Rachunek ureguluje mój ojciec. W zaistniałej sytuacji Nigel i Amber powinni okazać mi minimum uprzejmości. Klucze zostawiłam na blacie kuchennym, zatrzasknęłam drzwi. Odwrotu nie ma, do mieszkania ciotki już się nie dostanę. Aha, jeszcze zostawiłam portierowi adres Gabriela, żeby tam kierował moją korespondencję.

W połowie drogi kazałam taksówkarzowi zawrócić. Kotkę mój widok ucieszył bardzo, jazda samochodem mniej. Pamiętała, jak wiozłam ją poprzednim razem, kiedy skaleczyła się w łapkę i trzeba było szukać ratunku u weterynarza. Na szczęście znalazłam w kieszeni kilka granulek kocięj karmy, więc obyło się bez zbyt wielu zadrapań.

Po przybyciu na miejsce moje torby i kotkę ulokowałam w pokoju, który oddano mi do dyspozycji. Nalałam mleko do miseczki, wyjęłam stary sweter, żeby koteczka, kiedy napije się mleczka, miała gdzie się umościć, i wreszcie poszłam sprawdzić, co słychać u Gabriela Yorka.

Spał i wyglądało na to, że nie ma gorączki, ale ja i tak, na wszelki wypadek, przyniosłam z kuchni butelkę z gorącą wodą i wsunęłam ją pod kołdrę. Gabriel poruszył się, zmienił pozycję, a ja wstrzymałam oddech. Wcale nie chciałam już teraz informować go o obecności kotki. Zrobię to później, kiedy obmyślę jakiś rozsądny powód, dlaczego nie wspomniałam o tym wcześniej.

Potem zabrałam psy na spacer. Rzecz jasna nie kwapiły się do wyjścia, zaintrygowane nowym zapachem na piętrze. Nowym i kocim. Byłam jednak stanowcza, a one wdrożone do posłuszeństwa. Albo mądre bestie domyślały się że nowego lokatora zastaną w domu po swoim powrocie.

Przegoniłam je porządnie. Nie szkodzi, niech pieski się wybiegają, ja zaś w tym czasie układałam chwytającą za serce historyjkę o bezdomnym kotku.

Niestety nie dane mi było jej przekazać, bo po powrocie zastaliśmy Gabriela na dole, rozpartego w kuchennym krześle. Na kolanach pana domu rozkosznie przewalała się kotka.

Na tym nie koniec. W sekundę potem zostało popełnione przestępstwo polegające na uszkodzeniu ciała. W tym przypadku uszczerbku doznały dwie istoty żywe.

Psy rzuciły się do swego pana. Nie dobiegły, bowiem przerażona kotka wpiła pazurki w nogę Gabriela, który tak zaklął, że nie śmiem tego powtórzyć, potem zerwał się na równe nogi i złapał za kolano.

Ja zaś chciałam pochwycić kotkę, lecz umknęła. Zatrzymała się kawałek dalej, wygięła grzbiet w idealny łuk, wydając z siebie całą gamę gniewnych kocich dźwięków. Joe, młodszy od Percy'ego i proporcjonalnie głupszy, nie mógł oprzeć się pokusie. Podeszedł do kotki, niestety, jak na jej gust stanowczo za blisko. Kotka znów prychnęła i przyłożyła mu łapczką z rozcapierzonymi pazurkami.

Joe zaskowytał i odskoczył, uderzając o stół. Stół się zachwiał, a dzbanek z moim bukiecikiem ułożył się elegancko na boku.

Kotka, zdecydowawszy, że dostatecznie jasno okazała światu swe uczucia, dała nura pod fotel.

W ciszy, która nastąpiła, słysząc tylko było ciche „kap, kap”. Kałuża na lśniącej drewnianej podłodze konsekwentnie zwiększała swą powierzchnię.

- Cześć! - rzuciłam głosem jasnym i pogodnym. -
Widzę, że się obudziłeś.

Gabriel najpierw poczęstował mnie dobrze znanym spojrzeniem. Tym od mleka, co zaraz by się zsiadło.

- Twój kot protestował przeciwko zamknięciu. Bardzo głośno.

- To kotka. Bardzo mi przykro, ale ona nie jest przyzwyczajona...

- Dlatego chciała pazurami wydrapać sobie przejście w drzwiach.

Był wściekły. Argumenty, że kotka nie daje się ani zamknąć, ani przymknąć, teraz by do niego nie dotarły. Należało więc stanowczo poniechać tematu „kotka”.

- Ojej! Twoja biedna noga! - krzyknęłam, wpatrując się w kropelki krwi wypływające spod szlafroka. - Trzeba to opatrzyć. Masz jakiś środek antyseptyczny?

Spojrzenie Gabriela mówiło wyraźnie, że bystry pan doktor przejrzał mnie na wylot i nie ma zamiaru poniechać śliskiego tematu, tylko odkłada go na później.

- Mam - burknął. - Znajdziesz w szafce pod zlewem.

Wlałam wody do miseczki i rozpuściłam ów środek, a z braku waty błyskotliwie zaimprovizowałam, to znaczy zanurzyłam w miseczce brzeg koszulki. Pan doktor naturalnie głośno wyraził swój protest.

- Chyba nie masz zamiaru dezynfekować rany swoim T-shirtem!

- Nie przesadzaj, jest czyściutki.

- Ale nie jest wysterylizowany!
- Gdybyś miał w domu watę, mógłbyś się złościć. Ale nie masz, prawda?
- Chyba nie mam.
- No to siadaj i nie gadaj.

Bystry doktorzek zorientował się, że dalsza dyskusja jest bezcelowa albo na wszelkie dyskusje brakło mu sił. W każdym razie opadł na fotel, a ja, wcale nie paląc się do ponownego spotkania z seksownymi bokserkami, leciusięńko odsunęłam połą szlafroka i ostrożnie zdezynfekowałam zadrapania na kolanie.

- Będę żył? - spytał Gabriel.
- Gwarancji nie ma żadnej. Chyba że coś zjesz, i to zaraz, na przykład jajko. Na pewno dobrze ci to zrobi.
- Mówiłem ci już, że nie potrzebuję pielęgniarce.

Prawie warknął. Czyli wścieka się na siebie, że zaproponował mi ten wolny pokój. Dlatego, po skończeniu zabiegu, wycofałam się w najdalszy kąt kuchni, gdzie przedtem przezornie umknęły psy, i dokonałam powtórki z niesienia pierwszej pomocy, tym razem na nosie biednego Joego, stworzonka rozsądnego, niezgłaszającego żadnych obiekcji odnośnie mojego T-shirta. Zaskomlał tylko cichutko, dopraszając się odrobiny czułości.

Wygłaskałam go. Percy'ego, oczywiście, też.

- Nie przypominam sobie, żebyś wspominała o kotce
- rzucił Gabriel głosem zgrzytliwym jak piła tarczowa.
- Jak ty to sobie wyobrażasz? Na pewno nie będzie zachwycona, że po domu kręcą się psy!

Zebrałam się w końcu na odwagę i spojrzałam mu prosto w twarz.

- Musi się dostosować, w końcu to psy są tu gospodarzami. Gabriel... naprawdę nie mogłam jej tam zostawić.

- Rozumiem to doskonale, Sophie. Szkoda tylko, że mnie nie uprzedziłaś. Zdajesz sobie sprawę, jak ona się wydzierała?

Dobrze wiedziałam, jak to przyjemnie zostać obudzonym wrzaskami miotającego się kota. A jakich spustoszeń musiała dokonać kochana kiciusia w pokoju, który Gabriel nieopatrznie oddał mi do dyspozycji...

- Bardzo cię przepraszam, ale myślałam, że kiedy wyjdę z psami na spacer, ona sobie pośpi. W każdym razie jeśli twoje zaproszenie jest już nieaktualne, doskonale to zrozumiem.

- A niby gdzie ty się wybierasz?

Do diabła! Że też to właśnie musiał powiedzieć! Normalny człowiek zapewniłby gorąco, że ależ skąd, zaproszenie jest jak najbardziej aktualne, bo i co to za problem. Psy i kot jakoś się pogodzą, po prostu wyznaczają sobie granice terytoriów.

Z drugiej strony, miał prawo być wściekły. Sprowadziłam do domu nie tylko siebie, ale i kota, co jest ordynarnym nadużyciem gościnności.

- Chyba się poddam i wrócę do domu.

Koczowanie u Tony'ego nie wchodziło już w grę, bo mój przyjaciel jest uczulony na kocią sierść, domieszkania przy Chandler Reach sama odcięłam sobie drogę powrotu. Jednym słowem, spaliłam za sobą mosty, jakby moja podświadomość pchała mnie na Pimlico...

- A gdzie jest twój dom, Sophie?

- W Berkshire. Trochę za daleko, żeby dwa razy dzien-

nie przychodzić tutaj i wyprowadzać psy. - Gdy nie reagowałam, dodałam dowcipnie: - Chyba że wzięłybyś na siebie koszty podróży.

No proszę, chyba go trafiłam.

- Nad tym należałoby się poważnie zastanowić - powiedział z kamienną twarzą.

Człowieku! Kiedy ty w końcu choć raz porządnie się uśmiechniesz! Przecież nie grozi to ani śmiercią, ani kalectwem!

- Poza tym masz jeszcze pracę w tej kwiaciarni - ciągnął. - Będą mieli problem, jeśli wrócisz do Berkshire...

- Może tak.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, znak, że Gabriel York coś tam rozważał. Wreszcie po jego twarzy - słuchajcie, słuchajcie! - przemknęło coś, co od biedy można by nazwać cieniem uśmiechu.

- W takim razie najpierw chcę się przekonać, czy jesteś dobra w smażeniu jajecznicy. Potem podejmę decyzję.

Problem kotki nagle wywietrzył mi z głowy, za to pojawił się inny, gorszy. Że też Gabriel musiał uprzeć się na jajecznice...

Czyli nie jest dobrze.

Ale najgorzej chyba też nie.

Na pewno dam sobie radę i wszystko będzie OK.

Spod fotela dobiegło mruczenie kotki. Też bym sobie pomruczała z zadowoleniem. Gabriel York wreszcie zje coś pożywnego, a ja i kotka na jakiś czas zdobyłyśmy dach nad głową.

Po prostu trzeba usmażyć jajecznicę. Usmażyć, nie przypalić. Po raz pierwszy w życiu.

- Poczekaj chwilę - oświadczyłam różnym głosem i wycofałam się z kuchni.

Umyłam się, przebrałam w czysty T-shirt i włączyłam komórkę. Miałam wiadomości. Wyłączyłam komórkę. Wiadomości mogą poczekać, jajecznicza nie.

- No dobra - rzuciłam, zjawiając się znów w kuchni.
- Biorę się do roboty.

Rozejrzałam się w celu dokonania oceny warunków pracy. Nieźle. Nie była to kuchnia, która prosi się o fotografię do kolorowego czasopisma, ale stwarzała możliwości. Potencjalne, nie realne. Fantastyczny, staromodny zlew i olbrzymi walijski kredens wprost zachwycący, tyle że kredens wypełniony był nie kruchą porcelaną, lecz książkami, czasopismami i jakimiś szpargałami, a wszystko pokryte grubą warstwą kurzu. Ściany zawieszono szafkami w stylu rustykalnym... pardon, tylko jedna ściana, jakby ktoś zamierzał kuchnię urządzić, potem jednak mu się odechciało. W sumie więc, zważywszy obecność starej, wysłużonej kanapy oraz krzesel i fotelików, każdy z innej parafii, styl kuchni można było określić jako eklektyczny.

Nie było żadnych blatów kuchennych, tylko wielki drewniany stół, ten sam, który się zachwiał, w konsekwencji czego obok widniała kałuża. Pierwszą czynnością, jaką wykonałam, było wytarcie podłogi i wlanie wody do dzbanka, żeby moje biedne kwiatki miały co pić.

- Kwiatki z tej twojej kwaciarni? - spytał Gabriel -
Dodatkowe profity, tak?

- Aha. Nie pasowały do bukietu...

- Rozumiem. Róże, orchidee i słoneczniki.

- Słucham?! A... chodzi ci o tamte kwiaty... - Te, które ustawiłam w mojej sypialni. Gabriel musiał je zauważyć, kiedy wypuszczał z pokoju kotkę. - Dostałam je na urodziny.

- Dostałaś kwiaty? Czy to nie tak, jakby jechać z węglem do kopalni?

- Pracuję w kwiaciarni dopiero od wczoraj.

Nie miałam ochoty dyskutować o moim planie kariery zawodowej właśnie z Gabrielem Yorkiem, dlatego otworzyłam najbliższą szafkę, w której nie było ani misek, ani patelni, w ogóle niczego pożytecznego, tylko stopy czasopism medycznych.

- Jeśli chcesz zjeść tę jajecznicę, musisz mi pomóc, Gabriel. Gdzie jest miska, trzepaczka do piany i patelnia?

- Przepraszam, ale nie mam zielonego pojęcia, gdzie to wszystko jest.

Naturalnie. Jest przecież mężczyzną. Siada wygodnie w fotelu i łaskawie pozwala, żeby ktoś coś dla niego ugotował. Ciekawe, kto. Czy ktoś, kogo zranił, bo odstawił tę osobę na boczny tor? Może pielęgniarzka, która opiekowała się jego psami?

Nagle poczułam ukłucie zazdrości. Po tej kuchni kiedyś uwijała się inna kobieta, gotowała. Nagle pożałowałam, że tak mało przykładałam się do doskonalenia - ba! do nabycia! - tej właśnie umiejętności.

- W takim razie, Gabriel, to potrwa nieco dłużej.

- Nie szkodzi. Nigdzie się nie wybieram.

W porządku, panie Ponury, sama wszystko znajdę. Systematycznie przejrzałam szafki i udało mi się skompletować sprzęt. Następnie przystąpiłam do przekładania za-

wartości wielkiej torby do lodówki, oczywiście poza pojemnikiem z jajkami. Wydał mi się podejrzenie lekki. Otworzyłam. W środku były tylko dwa jajka. Wielkie dzięki, Nigel i Amber. Śniadanko przed waszym odjazdem na pewno smakowało...

Ale chleb nadawał się na tosty, a masło było świeżutkie.

Trzeba znaleźć toster. Niestety nigdzie go nie było. Tosty, jak już to przećwiczyłam, robi się w piekarniku, czyli trzeba będzie pilnować i ich, i jajecznicę. W tym samym czasie. Pięknie.

Napięcie wśród żywego inwentarza nie sprzyjało skupieniu. Joe odzyskał wigor i centymetr po centymetrze posuwał się w kierunku fotela. Miałam przeczucie, że w chwili gdy odwrócę wzrok od psa, wybuchnie totalna wojna.

- Joe! Siad! - krzyknął czujny pan.

Pies usiadł, na pysku psi uśmiech, spojrzenie czyste i niewinne.

- Gabriel, może włączę ogrzewanie? - Cisza. - Gabriel, ty cały drżysz! Masz gorączkę?

Gdy spojrzałam na jego ręce, natychmiast zacisnął je w pięści, by ukryć drżenie.

- Żadna gorączka - rzucił szorstko. - Ciepło nic tu nie pomoże.

Teraz to ja poczułam ciarki na plecach. Gabrielowi drżą ręce. Jest chirurgiem. A ja wyobrażałam sobie, że mam prawdziwe problemy...

Chciałam objąć go, przytulić, powiedzieć, że wszystko, co złe, minie, lecz wyraz jego twarzy świadczył, że tego wcale obiecać nie można. Te ręce może już nigdy nie będą tak perfekcyjne jak przedtem.

- Koniecznie musisz coś zjeść - powiedziałam tonem mojej matki, gdy natykała się na sytuację kryzysową. - Jedzenie zaraz będzie gotowe.

Niemal z furją przystąpiłam do ubijania jajek. Zajął mi to minutę. Ułożyłam kromki chleba na ruszcie, chwyciłam patelnię - i zastygłam. Bo bądź tu mądry, człowieku. Skupię się na jajeczniczy, wtedy jak nic spalę tosty...

- Może pomogę...

Cichy głos Gabriela, a tym bardziej jego dłoń, która nagle znalazła się na moim ramieniu, miały efekt piorunujący. Patelnia rąbnęła o podłogę, psy śmignęły na kanapę i przykleiły się do poduszek, a spod fotela dobiegł stukot, bo rozżłoszczona koteczka zaczęła walić ogonem o podłogę.

- A niech to! - krzyknęłam rozeźlona. - Gabriel, aż podskoczyłam!

- Przepraszam. - Podniósł patelnię z podłogi. - To wszystko dlatego, że chyba jesteś w niezłym stresie...

- No proszę. Odkrycie roku! Ale dobrze, niech będzie, czynności zarezerwowane dla kapłanek domowego ogniska są dla mnie nowością.

- Zauważyłem.

- Ratunku... Gabriel! Prawdziwy mężczyzna powinien teraz zaprzeczyć i zapewnić gorąco, że co tam kapłanka, ja w kuchni jestem wręcz boginią! Ale tym razem ci wybaczam, ze względu na twoją chorobę.

- Ty miałybyś być boginią? No, no... - W jego głosie pobrzmiewał tylko i wyłącznie sceptycyzm. - Jesteś pewna, że tak właśnie odbierają cię męskie serca?

- Wątpisz?! - Wyciągnęłam rękę i położyłam dłoń na

jego czole. - Dziwne. Czoło niezroszone potem, co więcej, chłodne. Byłam pewna, że dobijasz do czterdziestu stopni... - Nagle zdałam sobie sprawę, co robię. Ręka natychmiast opadła, ale dokończyłam: - Nie wiesz jeszcze, na co mnie stać.

- Może i nie... Ale wiem, że potrafisz zaskakiwać.

I uśmiechnął się! A ja od razu zaskoczyłam, dlaczego w tym uśmiechaniu jest taki oszczędny. Względy bezpieczeństwa. Podejrzywałam, że jego uśmiech musi być szczególny, ale nie do tego stopnia! Zniwalaający uśmiech stanowił potworne zagrożenie. Po prostu szkodził zdrowiu. Naprawdę. Serce me łomocze, mam pewne kłopoty z oddychaniem...

- Może ja popilnuję tostów? - spytał w końcu Gabriel.

- Aha...

Mój mózg zaczął znów pracować.

- Któreś z nas powinno, bo inaczej się przypalą.

- W takim razie moje tosty, twoja jajecznica, Sophie.

Może i dobrze, że przygotowanie prostego w końcu posiłku wlokło się w nieskończoność, a ja okazałam się gapą i Gabriel musiał się włączyć. Bo nic tak nie pobudza apetytu jak zapach gorących tostów. W rezultacie dosłownie wyskrobał talerz po jajecznicy - która, przyznam nie-skromnie, udała się nadzwyczajnie - i schrupał tosta posmarowanego masłem.

Czyli idealnie. Wychodzi na to, że tworzymy dobry zespół.

Chętnie oddałabym mu swoją porcję, obawiałam się jednak, że jeśli nie będę miała niczego na talerzu, zacznę stroić fochy, a ja nie miałam zamiaru dopuścić, żeby od-

mówił spożycia czegoś, nad czym tak się namęczyłam. I wcale nie szkodzi, że dostał niewiele. Lepiej mieć ochotę na więcej, niż ze wstrętem odsuwać od siebie pełny talerz.

Niestety, ja nadal byłam głodna.

- Zrobić ci herbaty? Mam earl greya - zaproponowałam, zbierając talerze trochę głośno, żeby zagłuszyć burczenie w brzuchu. W lodówce był jeszcze wiejski serek, taki serek jednak żołądka nie zapełni. Potrzebowałam kalorii, jasne? Tysiące kalorii, na przykład - frytki.

- Nie, dzięki. Wystarczy mi woda.

- To może wracaj już do łóżka.

Dobre jedzenie i sen. Najlepsze lekarstwo. Zamrugalam szybko oczami. Jeśli moja matka nie wróci niebawem, to ja zmienię się w moją matkę.

- A ty co będziesz robić? - spytał.

- Pozmywam, potem przejrzę pocztę w laptopie i komórce. Sprawdzę, jakie to cudowne oferty spłynęły przez noc.

- Rozłóż się z tym w kuchni, tu jest cieplej. - Wstał z krzesła i ruszył ku drzwiom.

- Gabriel...

- Tak?

- Dzięki. - Wykonałam ręką taki ruch, jakbym ogarniała cały dom. - To uratowało mi życie.

- Czyli jesteście kwita.

Przecież nie chodziło mi o spłacanie wymagowanych długów. Po prostu byłam mu ogromnie wdzięczna za udostępnienie mi na jakiś czas spokojnego kąta, gdzie mogłam pomyśleć, co dalej. Rozmowy jednak nie kontynuowałam. Oczekałam, aż Gabriel dotrze na górę, potem przyniosłam z mojego pokoju do kuchni laptop i komórkę.

Wiadomości było mnóstwo. Przede wszystkim od znajomych, którzy uczestniczyli w urodzinowej imprezce w pubie. Czyli w kółko to samo. „Impreza super!” i „Co robisz w weekend?”. A dla mnie nagłe - może za sprawą osiągnięcia wieku dojrzałego - ten miły obowiązek, nakazujący w weekend zaszaleć, przestał być jedną z najważniejszych spraw na świecie.

Była też wiadomość od siostry, która niby chciała pogadać o tacie. A w podtekście pytanie: „Kiedy w końcu wrócisz do domu i zajmiesz się ojcem?”.

Tony, cały w nerwach, nagrał się aż trzykrotnie, za każdym razem oferując coraz lepsze warunki. Czyli jeszcze chwila i rozentuzjarmowany przyjaciel odda mi do dyspozycji cały swój apartament, a sam się wyprowadzi.

To dawało do myślenia. Powinnam stanowczo się wycofać i dać Tony'emu szansę na spotkanie kogoś, kto jego uczucie po prostu odwzajemni uczuciem.

A na koniec wiadomość od panny Lodowatej.

Ma dla mnie pracę. Zakupy dla starszej pani. Zano-towałam, popytałam o szczegóły. I tym razem, jak zauwa-żyłam, panna Lodowata wcale nie kłuła zjadliwą ironią. Czyli wygląda na to, że sprawy nieźle posuwają się do przodu.

Z kolei agencja internetowa wysłała zapytanie, czy nie byłabym zainteresowana pracą kelnerki w pubie. Naresz-cie coś, w czym czułam się naprawdę mocna. Kiedy skoń-czyłam dwanaście lat, poszłam za przykładem Kate i za-rabiałam na dodatkowe kieszonkowe, bawiąc się w kel-nerkę podczas przyjęć wydawanych przez mamę.

Zadzwoiłam pod podany numer. Chcieli mnie od za-

raz. Od zaraz! Czarne spodnie, biała koszulowa bluzka. Oni dają fartuch.

Zapukałam do drzwi Gabriela. Siedział oparty na poduszkach, na kolanach, naturalnie, jakieś opasłe tomisko.

- Mam nową pracę - zakomunikowałam. - Skombinuję jakiś piasek dla Tygryscy. - To imię wymyśliłam na poczekaniu, pragnąc kotkę mocniej osadzić w nowej rzeczywistości. - Potem lecę, wrócę o wpół do piątej. Masz przy sobie komórkę? - Gdy ruchem głowy wskazał na stolik przy łóżku, dodałam: - Jeśli będziesz mnie potrzebował, dzwoń. Wolałabym po powrocie nie zastawać tu znów sytuacji kryzysowej.

- Dobrze, proszę pani.

- Nie żartuj, Gabriel. Ciepło ci? Może naleję wody do butelki?

- Przestań gdakać jak kura do pisklaków. Zmusiłaś mnie, żebym zjadł śniadanie. Wystarczy, dziś spełniłaś już dobry uczynek.

- Pamiętasz mój numer?

Podniósł komórkę. Odniosłam wrażenie, że najchętniej rzuciłby nią we mnie. Ale nie, nie rzucił, tylko warknął przez zęby:

- Przypomnij mi. Wpiszę do książki telefonicznej.

- Pod „B” jak „bogini”?

- Nie. Pod „Z” jak „zrzęda”.

- Chyba znów majaczysz. Trudno.

Podaliśmy numer. Ostatnie zdanie należało do mnie:

- Powtarzam. Gdyby coś złego się działo, dzwoń natychmiast.

Byłam już na dworze, kiedy odezwała się moja komórka. Błysnęłam dowcipem:

- Tu Sophie Harrington, kobieta uniwersalna, która żadnej pracy się nie boi.

- Ta butelka z gorącą wodą.

Cichy, lekko zachrypnięty głos wywołał u mnie dawno zapomniany młodzieńczy dreszczyk, przelatujący przez całe ciało. Czyli koniec. Starłam się obronić, sukcesu jednak nie odniosłam. Facet mnie zauroczył. Prawdę mówiąc, od pierwszego wejrzenia.

- Co z nią? - Nad głosem jeszcze panowałam, choć uczucia wymknęły się spod kontroli.

- Ona wygląda jak owca.

- To facet. Nazywa się Sean. Możesz się do niego przytulić. Ogrzeje cię i wleje spokój do twojej duszy.

- Niczego nie trzeba we mnie wlewać. Pamiętaj też, że gdybym nagle ochłódł, godzę się tylko na jedno. Na sprawdzoną metodę przekazywania ciepła.

Jego dreszcze okazały się zaraźliwe. Naturalnie wiedziałam, że gdybym wróciła pędem do domu i wskoczyła Gabrielowi do łóżka, popełniłabym szaleństwo.

Nad głosem też już nie panowałam.

- Za... zadzwoń po hydraulika.

Coś, co miało być lekkie i dowcipne - dowód, że nie biorę niczego na serio - wykrztusiłam z wielkim trudem. Ale nic się nie stało. W telefonie słychać było już tylko sygnał. Gabriel się rozłączył.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Sophie?
- Cześć, Kate! Myślałam, że wracacie dopiero jutro. Jak było w Szkocji?
- Zapomnij o Szkocji. Co u ciebie?
- Świetnie, a nawet fantastycznie.
- Fantastycznie? Powiedz mi, gdzie się podziewasz. Dzwoniłam na Chandler Reach i dowiedziałam się, że Nigel i Amber kupili mieszkanie. A ty się wyprowadziłaś.
- Kora potrzebuję pieniędzy, rozumiesz...
- I kazała ci się natychmiast wyprowadzić? Jak mogła?!
- Bardzo to przeżywała, Kate, a ja nie chciałam utrudniać sytuacji. Sama zdecydowałam, że wyprowadzę się jak najszybciej. Zresztą już znalazłam tymczasowe lokum.
- U Tony'ego? Uważaj, ma na ciebie ochotę.
- Nie mieszkam u niego. Zatrzymałam się u kogoś, kogo zupełnie nie znasz. Tylko na jakiś czas, gdybyś więc słyszała...
- Na litość boską, Sophie! Czy nie możesz zrobić wszystkim przysługi i na jakiś czas po prostu wrócić do domu? Wczoraj dzwonił do mnie tata, jestem pewna, że popijał. Zadzwoniłam do mamy, ale w ogóle nie chce

o tym rozmawiać. Błagam, Sophie. Ja muszę wracać do pracy.

A ja nie miałam pracy, takiej prawdziwej, porządnej. Kate nie będzie porażona ani moim wyprowadzaniem psów, ani robieniem zakupów dla starszej pani, ani sprzą-taniem, ani najnowszym moim zajęciem, czyli wieczor-nym porządkowaniem półek w sklepie z zabawkami.

- Poza tym nie mogę zostawić Simona.

- Nie mogę tam teraz jechać, Kate. Mam pewne zobow-
wiązania.

Siostra cicho prycgnęła, naturalnie pogardliwie, co porządnie mnie wkurzyło. Moje zobowiązania może i nie są tak dobrze płatne jak jej, ale na pewno są tak samo ważne.

- Sophie? Może przynajmniej wpadniesz do domu podczas weekendu?

- Nie mam samochodu, Kate.

A Gabriel ma, oczywiście. Wielkiego, srebrzystego ran-ge-rovera, w którym z tyłu jest mnóstwo miejsca dla dwóch psów. Gabriel jeszcze przez co najmniej dwa tygo-dnie będzie dochodził do zdrowia, ale wypad na wieś dobrze by mu zrobił. Hm.

- Niestety, robienie kariery zawodowej pozostawia mi niewiele czasu na szukanie mieszkania.

- Kariery zawodowej? - powtórzył Gabriel, nie racząc nawet wychylić głowy spoza niedzielnej gazety. - A cóż ty za karierę robisz, Sophie? Jesteś nianią dla psów, a ulu-bione twoje zajęcie to wysypianie się.

- O, przepraszam! - zaprotestowałam, skupiona na

rozprowadzaniu pszczelego wosku po ścianie szafki. -
Moje prace są bardzo ważne. Spełniam potrzeby innych
ludzi. Na przykład weź taką panią Andrews. Bardzo miła
starsza pani. Codziennie rano robię jej zakupy.

- I ta pani, jak się domyślam, słono ci za to płaci.

- Wcale nie słono, choć na pewno za dużo jak na jej
możliwości. Jest coś jeszcze. Mogłabym robić zakupy raz
w tygodniu, ale pani Andrews przede wszystkim spragnio-
na jest towarzystwa, chce, żeby ktoś do niej wpadł i po-
gadał. Kiedy wracam z zakupów, zawsze czeka na mnie
kawa i coś słodkiego. Podejrzewam, że ona te słodkości
kupuje specjalnie dla mnie. I co ja mam zrobić? Powie-
dzieć, że przepraszam, ale muszę już lecieć? - Ponieważ
Gabriel milczał, z wielkim zapałem ciągnęłam swoje wy-
wody: - Popijamy kawę, pogryzamy ciasteczka, a pani
Andrews opowiada mi historię swojego życia. Była skrzy-
paczką, z orkiestrą zjeździła cały świat, spotykała się z cu-
downymi ludźmi.

- Ale za to gadanie ci nie płaci,

- Jesteś bez serca, Gabriel.

- Jeśli znasz się choć trochę na fizjologii człowieka,
wiesz dobrze, że to niemożliwe.

- Oho, szanowny pan doktor udaje, że nie wie, co to
przenośnia. Twoje serce to tylko pompa ssąco-tłocząca,
pozbawiona jakichkolwiek uczuć.

- Lekarz nie może sobie pozwolić na emocje. Tak sa-
mo jak dziewczyna, która nie znalazła jeszcze przyzwoitej
pracy.

- Pani Andrews jest bardzo samotna.

Tym razem nad gazetą ukazała się para czarnych oczu.

- W takim razie powinna mieć jakiegoś zwierzaka.
Oddaj jej swoją kotkę.

- Żartujesz, prawda?

- Mówię serio. Ta kobieta...

- Ona ma nazwisko.

- ... zajmuje ci czas, który mogłabyś spożytkować na zarabianie pieniędzy.

- To nie jej wina, Gabriel.

Elegancko nie wspomniał, że czas ten mogłabym przeznaczyć na poszukiwanie nowego lokum. Muszę przyznać, że w tym kierunku nie poczyniłam jeszcze żadnych kroków, choć mieszkałam u Gabriela prawie dwa tygodnie. Dlatego postanowiłam się wytłumaczyć:

- Z tym mieszkaniem, jak na razie, nie bardzo mi wychodzi - mruknęłam, zajęta wyjątkowo oporną plamką. - Każdy dzień mam wypełniony co do minuty, biegam z jednej pracy do drugiej. Ale nadałam już ogłoszenia wszędzie, wszyscy znajomi rozglądają się za czymś dla mnie.

- Miejmy nadzieję, że ze wzrokiem u nich wszystko w porządku.

- Naprawdę nie chcę, żebyś myślał, że wykorzystuję twoją dobroć.

- Wcale nie jestem dobry. Każdy, kto zna mnie bliżej, to potwierdzi.

- Nieprawda. Akurat ja wiem, że potworem nie jesteś. Zaprosiłeś mnie pod swój dach, kiedy byłam w rozpaczliwej sytuacji.

Czarne oczy znów wyrzały znad gazety.

- Sophie, a co ty tam robisz?

- Usuwam kurz z twojego domu.

Ciemne drewno starego walijskiego kredensu pięknie lśniło w nikłych promieniach zimowego słońca, które po wielu przygnębiających dniach z marznącą mżawką po raz pierwszy ukazało się na niebie.

- Nie usuwasz, a wzbijasz - stwierdził zgryźliwie. - I wdychasz. Kurz dostaje się do twoich oskrzeli i podrażnia je. Co gorsza, przedostaje się również do moich oskrzeli.

- Nie potrzeba ci kurzu, rozdrażnienie to twój naturalny stan.

- Czyli masz dowód, że wcale nie jestem człowiekiem o złotym sercu, a ty żyjesz jak na przysłowiowej beczce prochu.

- Jestem tego świadoma od chwili, gdy po raz pierwszy zapukałam do twych drzwi.

Zamierzałam zachować kamienny spokój - w tej rozmowie miałam przecież swój cel. Niestety byłam tylko człowiekiem i stopień mojej irytacji wzrastał po każdorazowej wymianie zdań.

- Trochę kurzu nie zaszkodzi - wygłosił po chwili przerwy. - Lepiej zostawić tak jak jest.

- Ciekawe! I to mówi człowiek, który protestował przeciwko użyciu mojego T-shirta do przemycia rany, bo nie był sterylny!

Gabriel syknął i ponownie ukrył się za gazetą.

- A propos... Jak tam twoje kolano? - spytałam głosem słodzikim jak sacharyna. - Są jakieś oznaki infekcji?

Zza gazety dobiegł tylko jakiś niewyraźny pomruk.

- Przepraszam? Co powiedziałaś?

- Z kolanem w porządku.

Nagle gazeta zaczęła drżeć jak liść osiki. Gabriel z pasją cisnął ją na podłogę.

- Nie będę czytać tych bzdur!

Zerwał się z krzesła, jakby miał zamiar dokądś pobiec, ukryć się przed swoją nieszczęsną chorobą. Wyglądał okropnie. Chudy jak szczapa, w przeraźliwie bladej twarzy z gniewu i z gorączki płonęły czarne oczy. Moje biedne serce, którego spokoju od czasów historii z Perrym Fotheringayem nikt nie zakłócił, teraz poddane zostało ciężkiej próbie. Aż zachwiałam się od wielkich emocji. Upadek nie nastąpił tylko dzięki temu, że moje ręce kurczowo przywarły do walijskiego kredensu.

Pragnęły zrobić coś innego. Zamknąć w dłoniach drżącą dłoń Gabriela i przytulić do serca, ogrzać, uleczyć. Poruszyłam się nawet, pragnąc swój zamiar wprowadzić w czyn, ale gniew, emanujący z Gabriela, nakazał mi pozostać w miejscu. Pewnie tylko dzięki temu gniewowi jeszcze jako tako się trzymał.

Ja byłam inna. Swojej rany nie leczyłam gniewem. Przeciwnie, od chwili gdy mi ją zadano, tryskałam humorem. Moje lekarstwa to jedna impreza za drugą, zakupy i praca, drobne zajęcia bez żadnej przyszłości. Jakie to puste... Cóż znaczy moje złamane serce w porównaniu z tym, co przeżywa teraz chirurg, zmagający się z perspektywą, że jego ręce nikomu już nie przywrócą droгоценnego daru widzenia?

- No i jak to będzie? - burknął. - Co trzeba zrobić, żeby w tym domu dostać śniadanie?!

- Poproś ładnie. - Znów skoncentrowałam się na powierzchni kredensu. - Albo zrób sobie sam.

W odpowiedzi ruszył do lodówki i wyjął karton soku pomarańczowego. Zanim udało mu się oderwać rożek, ręka drżała już tak bardzo, że w rezultacie więcej soku rozlał niż wlał do szklanki. Przez moment wpatrywał się w pomarańczową plamę, chwycił za szklankę i cisnął nią o ścianę. Na podłogę spadł deszczyk podbarwionych na pomarańczowo kawałeczków szkła.

Człowiek pozbawiony emocji. No tak.

Nastała upiorna cisza, w czasie której krople soku spływały po ścianie.

Ciszę przerwałam ja:

- Jest jeszcze trzecie wyjście.

-Jakie?!

- Możesz zabrać mnie do tej włoskiej kafejki na rogu.

- A niby dlaczego?

- Bo wyprowadzam twoje psy, wyczyściłam twój kredens i jestem piekielnie głodna.

- Za wyprowadzanie psów ci płacę, w niedzielę dostajesz więcej. I wcale cię nie prosiłem, żebyś cokolwiek czyściła.

- Na litość boską, Gabriel! To tylko śniadanie, a nie obiad w „Ritzu”! Jestem piekielnie głodna, nie mam melodii do gotowania, a sama nie lubię chodzić do knajpek, wystarczy? No i łyk świeżego powietrza dobrze ci zrobi...

- Powietrze jest nie tylko świeże, ale i mroźne. Mogę dostać zapalenia płuc

- Nieprawda. Przejdziesz się po słończku i nabierzesz apetytu. A jedzenie w tej kafejce na pewno jest jadalne...

- Jedyny plus - mruknał, a ja pomyślałam, że chirur-

gowi z takim kapitałem ironii skalpel na pewno jest niepotrzebny.

- ... a ty jesteś smutasem i cholerykiem - plotłam dalej, choć wiedziałam, że przede wszystkim powinnam posprzątać szkło z podłogi, zanim któryś z psów zeskoczy z kanapy. Ale teraz szkoda było każdej sekundy, bo Gabriel wyraźnie zaczynał reagować. Naturalnie ze złością.

- Choleryk? Jestem wzorem cierpliwości - zawarczał.
- W tym domu, odkąd ty tu się miotasz, nie ma ani chwili spokoju. Wpadasz i wypadasz, twoja komórka dzwoni bez przerwy. Sprowadziłeś tu też kota, który...

- A poza tym... - przerwałam mu, bardzo głośno, w końcu mówiliśmy o jego błędach, nie moich - a poza tym mam mnóstwo pracy i nie zdążyłam kupić chleba.

- A nie mogłeś tego zrobić, latając z zakupami dla pani Andrews?!

- Ona mi za to płaci.

- Czy to znaczy, że mam ci płacić, jeśli chcę dostać coś do jedzenia?

- Nie. Mówię tylko, żebyś ubrał się ciepło i zabrał mnie na śniadanie. Mam ochotę na muffinkę, naturalnie nie za bardzo spieczoną.

Wydawało mi się, że Gabriel nie ma odpowiedzi na końcu języka, należało więc wykorzystać ten czas, bo jeszcze minutka, a sobie przypomni, że wcale nie jest głodny, tylko wściekły na mnie, i zaraz schowa się do skorupy swojej niedoli. Dlatego zdecydowałam się na krok dramatyczny. Westchnęłam, podniosłam obie ręce na znak, że się poddaję.

- W porządku. Jeśli boisz się, że przez tę knajpkę zban-

kratujesz, obiecuję, że za siebie zapłacę. Ale na żadne inne ustępstwa nie idę...

- Sophie...

Nagle znalazł się bliżej o cały kawał.

- Dlatego tę ofertę przyjmij, Gab...

Złapał mnie za ramiona

- Sophie, bądź cicho.

-... bo ty...

Jego usta, twarde i gorące, spadły na moje wargi. Nastąpiły pocałunki, może nie delikatne i wyrafinowane jak w bajkowym romansie, ale brak finezji rekompensowała nadzwyczajna intensywność. A moje ciało, moje zdradzieckie ciało z miejsca zareagowało.

Niestety koniec nastąpił równie nieoczekiwanie jak początek.

- A więc jak? - spytał Gabriel, jego oczy były czarne jak obsydian. - Skończyłaś wreszcie tę przemowę?

Naturalnie. Nawet gdybym miała jeszcze tysiąc słów w zanadrzu, nie wykrztusiłabym żadnego. Ten pocałunek... Po tej historii z Perrym nikt tak mnie nie całował.

Bzdura, Sophie. Zapomnij „o tej historii z...”. Nikt nigdy jeszcze tak cię nie całował. Nigdy, po żadnym pocałunku, nie czułaś tego, co teraz.

Trzeba było coś powiedzieć. Zignorować wstrząs i drzenie, zachowywać się tak, jakby Gabriel osiągnął tylko jeden cel. Po prostu zamknął mi usta.

- Nie, nie skończyłam. Coś ci jeszcze powiem. Wybieraj. Albo zostajesz i dalej upajasz się swoją chandrą, albo udowodnisz mi, że jesteś w stanie przejść dwieście metrów, nie padając na twarz.

Jego ciepłe palce znikły z moich ramion. Puścił mnie, a ja nagle poczułam się odepchnięta i samotna.

- Jeśli się zgodzę, dasz mi spokój? - spytał.
- To znaczy...
- To znaczy, że idę po płaszcz. Łyk świeżego powietrza faktycznie jest czymś bardzo pociągającym.

Zanim wyruszyliśmy w drogę, przeżyłam jeszcze chwilę wątplenia, czy dobrze robię, wyciągając Gabriela na dwór wbrew jego woli. Ulżyłam jednak sumieniu, powtarzając sobie, że to dla dobra rekonwalescenta. Wzięłam go pod ramię, jakby było to coś najbardziej naturalnego na świecie, a on wcale nie protestował, tylko głębiej wsunął moją rękę pod swoje ramię i zgodnym krokiem ruszyliśmy przed siebie.

Nagle przystanął i zagapił się w czyjeś okno, ustrojone kolorowymi lampkami.

- Spójrz, Sophie! Ci ludzie ustawili już sobie choinkę. A do świąt jeszcze tyle czasu.

- Już połowa grudnia. - Pociągnęłam go za sobą. - Święta za pasem, na zakupy zostało tylko osiem dni. W pubie padamy z nóg, wciąż ktoś zamawia świąteczny lunch dla firmy. Rozumiesz, indyk, ciasto z bakaliami, wszystkim rozwiązują się języki, z szafy grającej do znużenia leci „Białe Boże Narodzenie”...

- Czyli coś beznadziejnego.
- Co ty wygadujesz?! Miło patrzeć, jak ludzie się bawią, poza tym na napiwki nie można narzekać.
- Zanim nadejdą święta, będziesz miała tego serdecznie dość.

- Wcale nie. Kocham Boże Narodzenie. Zawsze jest tak samo. Świąteczne dekoracje, wiejskie piosenki w radiu, polowanie na prezenty. A ty jak spędzasz święta, Gabriel? Z rodzicami? Czy twoje braterstwo wróci do tego czasu?

Badałam grunt, bo tak naprawdę interesowało mnie jedno: czy Gabriel spędza święta z tą swoją pielęgniarką. Jak dotychczas, nikt taki się nie pojawił, ale to wcale nie znaczy, że nikogo takiego nie ma. Pewnego dnia, kiedy akurat nie było mnie w domu, na stole zmaterializował się kosz pełen owoców. Gabriel powiedział, że wpadła do niego znajoma, która opiekowała się jego psami.

Mój mózg zapewniał, że jest to leciwa emerytka, która sobie dorabia, opiekując się cudzymi zwierzętami, jednak wyobraźnia podsuwała zupełnie inną rzeczywistość, w której owa pielęgniarka, wspiana i seksowna, była młodą, nowoczesną kobietą, preferującą czysto fizyczne związki, jak zresztą sam Gabriel. Ciekawe, z czym ona jeszcze przychodzi do niego, kiedy ja między dwunastą a drugą latam między stolikami, podając indyka i całą tę resztę?

- W święta zwykle pracuję - powiedział Gabriel, odpowiadając mi niestety na jedno tylko pytanie. - A ty na pewno jedziesz do domu, do rodziny?

- W tym roku nie. - Bez mamy nie będzie świąt. Zawsze była motorem wszystkiego. Ścięcie drzewka, o północy idziemy na pasterkę, wszystkie samotne osoby z wioski mogły liczyć na miejsce przy naszym świątecznym stole. Tata kroił indyka, potem bawiliśmy się w takie głupie gry... - Moi rodzice rozstali się kilka miesięcy

temu. Mama spędza święta pod słonecznym niebem w towarzystwie kochasia. Rozumiesz więc, że sytuacja jest nietypowa.

- Zawsze możesz spędzić święta w towarzystwie pani Andrews, słuchając jej wspomnień.

Wiedziałam już, że na Gabriela zawsze można liczyć, jeśli nie szuka się współczucia.

- Jestem pewna, że byłoby to o wiele sympatyczniejsze niż dotrzymywanie towarzystwa ojcu, topiącemu swoje smutki w szkockiej. Ciekawa jestem, czy pani Andrews zamierza sama spędzić święta.

- Na to wygląda, jeśli płaci komuś za zrobienie zakupów i pogawędki przy kawie.

- Może warto by było coś z tym zrobić.

- Może i warto - mruknął Gabriel, oswabadzając swoje ramię.

Gdy pchnął drzwi, natychmiast rozległ się radosny okrzyk:

- Hej, doktorze! Dawno pana tu nie było! Gdzie się pan podziewał? - Zza wielkiego ekspresu do kawy wyskoczył jakiś mężczyzna. Przyjrzawszy się Gabrielowi, już nie był taki radosny. - Na pewno nie tam, gdzie panu wyszło to na dobre. Proszę, niech pan siada, zaraz powiem Marii, żeby przygotowała dla pana najlepsze *zabaglione*. To postawi pana na nogi.

Zabaglione? Zaraz, zaraz, to chyba coś z jajek, przyrządza je się tak, że wydają się surowe. Kiedyś to jadłam albo patrzyłam, jak inni jedli.

- Dziękuję, Marco. Proszę, powiedz Marii, żeby nie dodawała alkoholu. Jestem na lekach.

- Oczywiście, oczywiście... A co podać pańskiej przyjaciółce?

- To jest Sophie, Marco. Opiekuję się moimi psami, dopóki nie dojdę do siebie.

- Tylko psami? - Ciemne brwi Marca uniosły się znacząco. - A więc co podać?

- Mufinkę i cappuccino.

- Dla mnie też cappuccino - dodał Gabriel.

Marco przyniósł kawę i chwilę jeszcze postął przy naszym stoliku, zapraszając serdecznie Gabriela do kościoła w piątek, na jasełka, w których występować będzie córka Marca, Lucia.

- Coś mi się wydaje, że bywasz tu często - zauważyłam niby mimochodem, kiedy zostaliśmy sami. - Traktują cię tu niemal jak członka rodziny.

- Bardzo dużo pracuję. Nie mam czasu na gotowanie.

Młodziutka, ładna dziewczyna przyniosła gorącą mufinkę, masło i zabaglione. Gabriel zagadnął do niej po włosku, dziewczyna spojrzała na mnie, zachichotała i odpowiedziała coś szeptem.

Czyli mówi po włosku.

Jakże to jest tak... tak nie po angielsku.

Jak cudownie.

I jaki wstyd. Co ja właściwie robiłam przez całe moje życie, skoro nie potrafiłam mówić przyzwoicie w żadnym obcym języku? Nawet nie zapisałam się na kurs komputerowy, choć sobie to przysięgłam.

- Lucia chce wiedzieć, czy jesteś moją przyjaciółką.
- Po jego twarzy przemknął uśmiech, jak zwykle prawie niewidoczny.

Ale wystarczyło, by moje policzki zrobiły się gorące, serce zabiło szybciej, usta nabrzmiały wspomnieniem pocałunku... Te sensacje były mi znane, tak się czułam, kiedy spoglądał na mnie Perry Fotheringay. Oszołomiona, podekscytowana, prawie pozbawiona rozumu. Czyli byłam na najlepszej drodze, żeby znów ktoś mnie zranił. Ale teraz przynajmniej z góry wiedziałam, o co toczy się gra. Gdyby udało mi się przekonać Gabriela, że związek emocjonalny nie ma nic wspólnego z genetyką, tylko z samym sercem...

- Przyjaźnimy się - powiedziałam pogodnie. - A fakt, że jestem kobietą, nie ma żadnego znaczenia.

Gabriel przetłumaczył, Lucia roześmiała się i umknęła do swego ojca, za lśniący chromem ekspres do kawy.

Gabriel przezornie milczał, dopóki nie wbiłam zębów w muffinkę.

- To ma znaczenie - stwierdził.

Zapchana muffinką byłam w stanie unieść tylko pytająco brwi. Zanim odpowiedział, przełknął pierwszy kęs słodkiego dania z jajek.

- Gdybyś była mężczyzną i dręczyła mnie swoim gadaniem, nie mógłbym uciszyć cię pocałunkiem.

Spokojnie zjadłam, wypiałam cappuccino, wygodniej usiadłam w krześle. Gabriel stawia na oszczędność, o tym zdażyłam się już przekonać. Więc tak właśnie należy załatwić sprawę. Krótko, bez zbędnych słów:

- Gabriel? Pożyczysz mi swój wóz?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Był chyba jeszcze bardziej chory, niż myślałam. Usłyszawszy moje, co tu ukrywać, bezczelne pytanie, ani drgnął. Spojrzał tylko na mnie i spytał, też krótko i bez zbędnych słów:

- Prawo jazdy i ubezpieczenie masz?
- Jasne.

Papiery miałam w porządku, drogówka nie mogła się do mnie o nic przyczepić. Teoretycznie mogłam prowadzić i traktor, i eleganckie bmw ojca. W praktyce na traktor, naturalnie, nie wsiadałam, ukończywszy lat dziesięć, a za kierownicę swego wypieszczonego auta tata nigdy w życiu by mnie nie wpuścił, choć miałam bardzo przyzwoite, bezterminowe prawo jazdy. Tata kazał nam wszystkim je zrobić, bo wtedy składki na ubezpieczenie są znacznie niższe.

- No to bierz. Tylko uważaj, jak będziesz wyjeżdżała z garażu. Tam jest trochę wąsko.

- Postaram się nie spowodować zbyt wielkich i kosztownych zniszczeń.

- Masz ubezpieczenie, więc nie konam ze strachu.
- Świetnie.

A więc poszło gładko. Bo Tony, kiedy raz wspomniałam o pożyczeniu jego samochodu, stękał i jękał się. Na-

turalnie tylko drażniłam się z nim, chodziło przecież o montowanego ręcznie morgana. Tony musiał wpisać się na listę oczekujących, wóz dostarczono mu dopiero po trzech latach.

- Gabriel? Nie jesteś ciekawy, dokąd jadę?

- Dla mnie ważne jest tylko, żebyś wróciła na czas i wyprowadziła psy. Cała reszta to twoja sprawa.

- Twoja także. Chciałam zabrać z sobą Perey'ego i Joego. Jadę na wieś, wiesz, jaka to frajda dla psów.

- Na wieś? A dokładniej gdzie?

Wyraźnie się zainteresował. Czyli bardziej zależało mu na psach niż na samochodzie. Czyli miał swoje priorytety, a może nawet i serce na właściwym miejscu.

- Chcę wpaść do domu, sprawdzić, co z ojcem.

- Dlatego bierzesz cudzy wóz i psy? By mieć wymówkę, że nie możesz z nim zostać?

- Aha. Nieźle to sobie wymyśliłam, co? - rzuciłam niby pełna zadowolenia, trochę jednak skonsternowana swoją bezwzględnością.

- On i tak nie może cię do niczego zmusić.

- Naturalnie. Na ten temat zresztą nie powie ani słowa, ale postara się wyglądać odpowiednio żałośnie. Nieogolony, smutny, w nieświeżym ubraniu, pusta lodówka...

- Rozumiem. - Gabriel nawet nie starał się ukryć uśmiechu. - I boisz się, że twoje miękkie serce ulegnie.

- Co to, to nie - zaprotestowałam gorąco. - Mam serce twarde jak stare buty, ale moja siostra Kate nie daje mi spokoju.

- Masz siostrę? Też mieszka w Londynie?

- Tak.

- Skoro twoja siostra tak bardzo niepokoi się o ojca, to dlaczego sama do niego nie pojedzie?

- Dlatego, że ma argumenty nie do zbicia. Kate zawsze przykładła się do nauki, studia prawnicze ukończyła w imponującym stylu, teraz ma równie imponującą pracę i spokojnie może się wymigać od wizyty w domu, gdzie można już tylko zbierać te skorupki, które pozostały z małżeństwa moich rodziców...

Wzruszyłam ramionami, niby lekceważąco, ale łzawa metafora roztkliwiła mnie. Pociągnęłam nosem. Gdybym kilka lat temu nie narzuciła sobie reżimu względem płaczu, na pewno zaczęłabym beczeć. Bo serce mi się ścisnęło. Naprawdę akceptowałam fakt, że mama potrzebowała odskoczni i dreszczyku emocji, ale z drugiej strony rozpaczliwie chciałam, żeby wróciła już do domu.

- Jest niedziela - stwierdził sucho Gabriel, całkowicie ignorując moje żałosne pociąganie nosem. - Prawnicy, których znam, na ogół w niedziele nie pracują.

- Tak, ale moja siostra jest nie tylko mądra, lecz i piękna. Dodaj do tego jeszcze cudownego męża i będziesz miał obraz całości. A niedziela jest jedynym dniem, kiedy mogą pobyć razem.

- Czyżby kogoś tu dręczył kompleks niższości? - spytał Gabriel, chyba już trochę znudzony moimi problemami.

- Nie. Nigdy nie marzyłam o stopniach naukowych ani o nadzwyczajnej pracy.

- A o czym?

O nie, kochany, tego tematu drażnić nie będziemy. Jest zbyt niebezpieczny. Ani się obejrzą, kiedy zostaną wciągnięta na głęboką wodę i prawdopodobnie utoną.

Uśmiechnęłam się bez trosko.

- Przede wszystkim o tym, żeby w życiu mieć trochę rozrywki.

- Wyprowadzanie psów, sprzątanie, podawanie w pubie za parę pensów nazywasz rozrywką?

- To i tak postęp w porównaniu z poprzednimi pracami. Poza tym poznaję wspaniałych ludzi. Na przykład Greta, kwiaciarka. Jest wdową, sama wychowuje dwójkę dzieci. Na pewno jej niełatwo, lecz nigdy nie usłyszałam od niej słowa skargi. Albo Alan, chłopak, który pracuje w sklepie z zabawkami. Był dzieckiem specjalnej troski, oddano go do adopcji, rodzice nie chcieli go wychowywać. A teraz Alan zamierza dostać się na uniwersytet...

- Nie zaprzeczam, że to ludzie godni podziwu. Powiedz jednak, czy za pięć, dziesięć lat nadał zamierzasz zajmować się tym samym?

- To znaczy czym? Rozrywką? - Specjalnie udałam głupka.

- Na przykład zmywaniem podłóg w kwiaciarni. Z pewnością mi to nie pasuje do twojego laptopa, drogiej komórki i markowych ubrań. Odcinanie metek niewiele zmienia, Sophie.

A więc zauważył...

- Owszem, odcinam metki od ubrań, w których chodzę do pracy, bo wtedy czuję się lepiej. A co do samej pracy, masz rację, to nie może trwać wiecznie. W przyszłym tygodniu mam zamiar zapisać się na kurs komputerowy.

- Nie rób tego, Sophie.

- Dlaczego?

- Widziałem, jak się męczysz, zanim wyślesz maila.

- Widziałeś... Aha... A usłyszałeś ten huk? Mój szacunek do siebie właśnie spadł na podłogę... Mówiąc jednak poważnie... Naprawdę myślisz, że pracuję tylko dla rozrywki?

- Nie wiem i nie wnika. Ale wiem jedno. Potrzebna jest ci nie praca, a mąż.

- Mąż? Przecież nawet nie umiem gotować.

- W takim razie bogaty mąż.

- Niestety fatalnie się złożyło, bo jeden taki bogaty, którego miałam na oku, miał inne plany. - A niech to... Wcale nie chciałam tego mówić. Czyli najbezpieczniej wrócić do tematu zasadniczego. - A więc, jak wspomniałam, chcę dziś po południu pojechać do domu i przekonać się, czy mój ojciec daje sobie radę w zakresie prostych, codziennych czynności.

- I chcesz zabawić tam jak najkrócej, dlatego bierzesz cudzy wóz i psy.

- Naprawdę uważasz, że jestem taka podła?

- Tylko ty jedna znasz odpowiedź na to pytanie. Jesteś czy nie?

- Posłuchaj. Mój ojciec poczynił już pewne kroki natury finansowej, żeby zmusić mnie do powrotu i zajęcia się domem. Dopóki moja matka nie odzyska zdrowych zmysłów...

Nie wspomniałam o moich obawach, mianowicie że matka zdrowych zmysłów najpewniej już nigdy nie odzyska.

- Sophie, czy on przypadkiem nie cofnął wszystkich twoich apanaży? Dlatego brak ci pieniędzy, nie masz gdzie mieszkać...

- W każdym razie nie dam się szantażować emocjonalnie.

- A jeśli ojciec grzecznie cię poprosi?

- To, na szczęście, mi nie grozi. Bo jak myślisz, dlaczego moja matka woli wylegiwać się nad basenem w Cape Town zamiast organizować tutaj święta, które wszyscy obchodzić będą naprawdę radośnie?

- Może myśli, że teraz ktoś inny powinien się tym zająć.

- Nie. Jestem córką egoistką. Dodaj do tego egoistycznego męża i zrozumiesz, dlaczego matka uciekła z domu.

- Nie mam zamiaru cię krytykować, Sophie. Zresztą twój ojciec od dawna jest dorosły i odpowiedzialny za swoje życie. Tylko sądzę, że w tym wszystkim nie za bardzo jesteś szczęśliwa.

- No, wiesz... bo to jest tak... w końcu to mój ojciec. Dlatego zajrzę do niego. A gdyby nie udało mi się wrócić w porze kładzenia psów do łóżka - nareszcie udało mi się wyczarować jaki taki uśmiech - wyślij po mnie ekipę ratunkową.

- Może chcesz, żebym o ustalonej porze zadzwonił na tę twoją drogą komórkę i zażądał natychmiastowego zwrotu samochodu?

- Tylko na to cię stać?

- O wiele więcej samozaparcia wymagałaby godzinna jazda autostradą, na pewno zakończona niemiłą konfrontacją z twoim ojcem.

- Wcale nie musisz się z nim spotykać. Możesz wziąć psy na spacer do lasu, odprężysz się, nałykasz cudownego powietrza...

- Dziękuję za poradę, pani doktor, ale nie skorzystam. Chociaż... Gdybyś puściła więcej pary na temat tego bogatego faceta, co miał inne plany, to kto wie, może bym się zastanowił...

Człowieku! Za cień twego drogocennego uśmiechu zrobię wszystko, nawet obnażę serce i duszę. Ale ty, oczywiście, nie uśmiechasz się, o nie...

- A co tam opowiadać. Chciał mieć bogatą żonę, dlatego ożenił się z inną. Czyli popełnił błąd.

Wiem, wiem, nie mogę mieć o nic pretensji. Swoimi wyznaniem sama go sprowokowałam do wtykania nosa w moje sprawy. Wetknął, a mnie nagle odechciało się jakichkolwiek wynurzeń. W gardle ścisnęło, żal nad sobą, bo kimże ja jestem od siedmiu lat? Nic niewarta, godną ubolewania istotą. Dlatego w oczach coś się zakręciło i krótko mówiąc, znów musiałam wydmuchać nos.

- Przeziębiłaś się?

- Ty jesteś lekarzem.

- Załzawione oczy plus coś z nosem. Czyli są dwie możliwości. Albo się przeziębiłaś, albo płaczesz.

- A niby dlaczego miałabym płakać?

Nastąpiła chwila ciszy, w trakcie której Gabriel spoglął na mnie tak jakoś inaczej. Jakby zamierzał powiedzieć coś miłego, może nawet oddać mi do dyspozycji swoją szeroką pierś, żebym miała na co wylać łzy. Wszystko jakby, bo gdy chwila minęła, stwierdził sucho:

- Czyli to musi być przeziębienie.

- I co zaleca pan doktor?

- Dużo płynów. Wyleżeć się, wygrzać...

- Butelką z gorącą wodą? Czy oferujesz mi nowator-

ską metodę przekazu ciepła, z dobrym skutkiem po raz pierwszy zastosowaną...

W czarnej głębi jego oczu błysnęło tak mocno, że odjęło mi mowę. Oddech też.

Niestety zepsuł to, mówiąc:

- Z medycznego punktu widzenia...

- Doktorze, nie potrzebuję fachowej porady. Mnie interesuje pańska opinia, że tak powiem, prywatna.

Nie odpowiadał długo. Może gdyby wiedział, jak rzadko wysyłam takie sygnały i ilu facetów na nie czekało i gorzko się rozczarowało - może wtedy byłby bardziej podekscytowany. Błysk w jego oczach niby dawał nadzieję, jednocześnie jednak dziwnie byłam pewna, że Gabriel milczy, zajęty szukaniem odpowiednich słów, które powiedzą „nie”, ale mnie nie zdołują. Wiadomo, jakich, mogłabym być teraz jego suflerką. Bardzo przykro mi, Sophie. Podobasz mi się, ale nie mam ochoty iść z tobą do łóżka.

I ma rację. Bo to robi się tylko z miłości.

- O, zrobiło się późno! - rzuciłam, spoglądając na zegarek. - Powinnam już jechać, żeby nie wracać po nocy.

- Sophie...

Za późno. Teraz, kiedy w końcu się odezwał, zabrzmiało to jak spóźnione przeprosiny, wprawiające tylko i jego, i mnie w zakłopotanie. Wstałam więc. Oczywiście zrobił to samo.

- Nie, Gabriel, zostań. Zjedz spokojnie śniadanie. Wiem, gdzie leżą kluczyki.

Nie czekając na jego argumenty, wyprysnęłam z przegrzanej kafejki na dwór, wdzięczna naturze za lekki mro-

zik, który chłodził moją głowę. Do domu dotarłam w mig. Spieszyłam się, pragnąc za wszelką cenę odjechać, zanim na dziedzińcu pojawi się Gabriel. Otworzyłam garaż, ulokowałam psy w range-roverze, przekreśliłam kluczyk. Samochód powoli zaczął wysuwać się z garażu. Naturalnie tyłem. Sytuacja wymagała maksymalnej koncentracji, niestety wciąż ścisnęło mnie w gardle, oczy przesłaniała mgiełka. Nic dziwnego, że źle oceniłam odległość. Do tego w lusterku wstecznym dostrzegłam wysoką postać w czarnym płaszczu. Oba te fakty miały fatalny skutek. Samochód huknął w drzwi garażu. Usłyszałam szcęk żelaza, moja noga na sprzęgle zadrżała spazmatycznie. Na moment straciłam panowanie nad kierownicą, dlatego dodatkowo rąbnęłam w kamienną donicę z uschniętym drzewkiem. Wystraszone psy zaskowytały, auto znieruchomiało.

Drzwi obok mnie otwarły się.

- Podejrzewam, że prowadzisz samochód równie umiejętnie, jak posługujesz się komputerem.

- Wcale nie! - Ręce były stabilne, zaciśnięte na kierownicy niby dwa imadła. Niestety cała reszta mojej osoby drżała jak liść na wietrze. - Prowadzę wóz od chwili, gdy zaczęłam dosięgać nogą do pedałów - oświadczyłam, próbując wmówić mu, że choć w wielu dziedzinach jestem oferumą, prowadzenie auta stanowi chlubny wyjątek. - Raz tylko zdarzyło mi się zadrapać lakier.

Gabriel spojrzał na mnie znacząco.

- To prawda! - krzyknęłam. Po czym rozryczałam się. Zanim jednak znalazłam chusteczkę, zdarzyło się coś niebywałego. Nagle ogarnęły mnie ramiona Gabriela Yorka

i moje gorzkie łzy zaczęły wsiąkać w miękki kaszmir czarnego płaszcza.

- Mam nadzieję, że z psami w porządku - wymamrotałam do szerokiej, solidnej piersi.

- Jasne.

Obejmujące mnie ramiona nawet nie drgnęły, a ja pozwoliłam sobie na szczerą wobec siebie. Cudownie jest być przytulaną, pocieszaną...

- Gabriel, przepraszam. Ja nigdy nie beczę.

Pogłaskał mnie po głowie.

- Rozumiem. Jesteś w szoku.

W szoku. Jasne. Moja głowa spoczywała w zagłębieniu ramienia Gabriela Yorka, moje serce biło niemal przy jego sercu. Głaskał mnie po głowie, jego usta musnęły moje czoło. Nigdy w życiu nie czułam się tak bezpieczna, nigdy nie chciałam tak trwać i trwać bez żadnej zmiany. Co też było powodem, że z tych silnych ramion gwałtownie się wysunęłam.

Znalazłam chusteczki, zrobiłam z nich użytek. Gabriel w tym czasie obszedł wóz i dokonał oceny szkód.

- Niedobrze - oświadczył, wracając do drzwi. - Tylko kilka wgnieceń na zderzaku. Nic poważnego. Światła w porządku. Czyli teoretycznie możesz jechać. Ale... - Pomyślał chwilę. - Przesuń się.

- Co?!

- Przesuń się. W takim stanie nie wolno ci prowadzić.

- Czuję się fan... fantastycznie.

- Wcale tak się nie czujesz. Martwisz się jak diabli o swoich rodziców, do tego dochodzi przemęczenie. Cały dzień latasz z jednej głupiej pracy do drugiej, znajdując

jeszcze czas, by co parę godzin zajrzeć do domu i sprawdzić, co dzieje się ze mną. Bardzo to miłe z twojej strony, ale mogłabyś sobie odpuścić.

Wcale nie miałam zamiaru sobie odpuszczać. Nigdy, nawet jeśli robiłam z siebie idiotkę i wcale nie wprawiałam Gabriela w zachwyty. Dlatego teraz wypaliłam:

- Mówisz, że miło z mojej strony? Przykro mi, ale rozczaruję cię. Dla mnie jesteś jeszcze jedną, jak mówisz, głupią pracą. Twoja bratowa zapłaciła mi, żebym cię doglądała. - Wcale nie było to totalne kłamstwo, przecież dawała mi pieniądze, tylko ich nie wzięłam. A przypomniawszy sobie mój atak na walijski kredens, dokończyłam: - I od czasu do czasu mam coś niecoś odkurzyć.

Głos Gabriela był doskonale beznamiętny, jakby fakt, że moja troska przeliczana jest na pieniądze, w ogóle go nie poruszył.

- Widzę, że znasz wartość pieniądza, Sophie. Nic dziwnego, że łapiesz wszystkie sroki za ogon. A teraz posuń się.

- Ale przecież ty jeszcze nie możesz prowadzić. Nie jesteś w formie.

- Przeciwnie. Parę dni temu był u mnie lekarz i zostawił całkiem pomyślne wieści. Obawiam się, że będziesz musiała znaleźć sobie jeszcze jakieś zajęcie, żeby wypełnić luki w rozkładzie dnia.

- Nic mi o tym nie mówięś.

- Przyszedł w porze lunchu, kiedy byłaś zajęta podawaniem jedzenia głodnej hordzie. Orzekł, że już wyzdrowiałem. Poza tym jestem pewien, że nawet gdybym ze-

mdlał, i tak prowadziłbym wóz lepiej niż ty. Przesuń się, Sophie. I zapnij pasy.

Przesiadłam się na miejsce pasażera, Gabriel wsunął się za kierownicę. Kiedy jego palce zacisnęły się na kierownicy, minimalne drżenie ustało.

- Jedziemy do M4?

- Tak. Na zachód, do krzyżówki w Windsorze.

Całe Knightsbridge udekorowane było świątecznie. Kolorowe lampki i lameta na tle błękitnego nieba wyglądały jednak trochę nijako, bo do prawdziwej świątecznej atmosfery niezbędny jest śnieg i zimowy zmierzch.

- To jak ty w końcu spędzisz święta, Sophie? Może u przyjaciół albo z siostrą?

- Kate i Simon chcą być sami, to ich pierwsze wspólne święta Bożego Narodzenia. A Tony, na którego zawsze mogłam liczyć, spotkał w końcu dziewczynę ze swoich marzeń i wybiera się z nią na Malediwy.

Doniósł mi o tym przez telefon. Szczerze mówiąc, sprawiał wrażenie, jakby do niego jeszcze nie docierało, że go w końcu trafiło.

- Tony to ten bogaty facet, co się zmył?

- Tony? Skąd! - To przynajmniej skłoniło mnie do uśmiechu. - A ty co będziesz robił w święta? Chyba nie w pracy?

- Nie, nie w pracy. Pójdę z psami na długi spacer, rozmrozę jakieś gotowe danie. Nigdy nie obchodziłem tradycyjnych, rodzinnych świąt, a nie tęsknimy za czymś, czego nie mieliśmy.

- Ratująca ludziom zdrowie i życie chirurgia, prawa kobiet i pokój na świecie to jedyne priorytety rodziny Yor-

ków? Najwyższy czas, żebyś zaczął celebrować święta jak należy.

- Nawet nie wiem, od czego zacząć.
- Od sporządzenia trzech list: co kupić, co przyrządzić i do kogo wysłać karty. Najlepiej zrobić to we wrześnie. A potem masz już tylko pełne ręce roboty. - Zamilkłam. Chyba już za późno, żeby zatroszczyć się o to wszystko.

- Co potem?
- To znaczy kiedy już oblecisz wszystkie sklepy i wyczyszczysz kartę kredytową, kupując prezenty absolutnie dla wszystkich, których znasz? Wtedy musisz już tylko wyszukać najwyższą, najbardziej gęstą choinkę, która zmieści się w twoim salonie, i lekceważąc wszelkie zasady dobrego smaku, obwieszasz ją wszystkim, co błyszczący, świeci i migocze.

Gabriel zaśmiał się.

- Czyli brak dobrego smaku jest niezbędny?
- Oczywiście. Dobieranie kolorów jest zakazane...

Wielki Boże! On się zaśmiał. Odwróciłam się i wlepiłam w niego oczy, powalona nieoczekiwanym dźwiękiem. I tą różnicą, jaką sprawia w twarzy człowieka kilka dodatkowych zmarszczek.

Moje milczenie musiało ostrzec Gabriela, że zrobił coś dziwnego. Spojrzał na mnie i śmiech ucichł.

- W porządku - powiedział. - Jak dotychczas nie wydaje się to zbyt bolesne.

- Nie bądź taki zadowolony. To dopiero początek.

Duży, czterokołowy pojazd połykał kilometry, a ja nadal zabawiałam Gabriela opowieściami, od których włos mu się jeżył na głowie. Odpowiednio ubarwionymi przez

ciągle powtarzanie historyjkami, dzięki którym święta na zawsze pozostawały w pamięci. Skoro raz już udało mi się zmusić Gabriela Yorka do śmiechu, nie daruję sobie powtórki.

Opowiedziałam mu, jak kiedyś wysiadł prąd. Gotowaliśmy i jedliśmy przy świecach, jak u Dickensa. Bardzo nastrojowo, choć wymagało to nieco wysiłku.

Zaserwowałam mu historyjkę o mojej idealnej siostrze, która wykazała zbyt wielką gorliwość w drinkowaniu przed lunchem. W rezultacie zasnęła, kryjąc twarz w pudringu. Ta opowiadka należała do moich ulubionych.

Bohaterką trzeciej była ciotka Kora, która w drugi dzień świąt, podczas niewinnej zabawy w chowanego, przyłapała swego męża numer dwa zawzięcie flirtującego z jej najlepszą przyjaciółką. Na koniec zostawiłam najważniejszą historyjkę, o tym, jak w zeszłym roku podczas świąt Kate i Simon uroczyście ogłosili, że zamierzają się pobrać. Pobrać...

Nagle odechciało mi się śmiać. Na temat świąt nie powiedziałam już ani słowa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gabriel, wyczuwając zmianę mego nastroju, nie odzywał się, puścił tylko muzyczkę. Kiedy wjeżdżaliśmy do wioski, zatrzymał wóz, by nie rozjechać wiernych wysypujących się z kościoła po przedpołudniowym nabożeństwie dla rodzin. Wśród tłumu, o zgrozo, zauważyłam Werę, naczelniczkę poczty, ostatnią osobę na świecie, z którą chciałabym teraz rozmawiać. Niestety przez otwartą szybę do samochodu wlewał się już potok słów:

- Sophie, kochanie, co za miła niespodzianka! Już prawie zapomniałam, jak wyglądasz! Przyjechałaś do ojca na niedzielny lunch? Biedny ten twój ojciec, taki samotny, odsunął się od wszystkich...

- Nie na lunch. Zlitowałam się nad dwoma londyńskimi psami i przywiozłam je tutaj, żeby porządnie się wybiegały. A to ich właściciel, Gabriel. Gabriel, Wera kieruje u nas pocztą i prowadzi sklep. Poza tym dba, byśmy wszyscy ze wszystkim byli na bieżąco. - Miałam nadzieję, że zrozumie kod „wiejskie plotki”.

- Miła jesteś - mruknęła Wera. - Powiedz lepiej, czy miałaś jakieś wiadomości od swojej matki? Jak się czuje? Pobyt w gorącym klimacie na pewno dobrze wpłynie na jej zdrowie.

Jak się czuje?! Czyżby tata rozповідаł, że mama wyjechała po zdrowie? Biedaczek, ludzie tak łatwo nie dadzą się oszukać.

- Twemu ojcu jest bardzo ciężko, Sophie. O tej porze na farmach mnóstwo roboty, nic dziwnego, że nie mógł jechać z twoją matką. Wszyscy czekamy na nią z utęsknieniem. Nikt nie potrafi stworzyć tak wspaniałej atmosfery świątecznej jak ona. Wkłada w to tyle serca. Jest nadzwyczajna, dzięki niej nikt nie spędza świąt samotnie. Wielka szkoda, gdyby jej w tym roku zabrakło.

Gabriel, jakby wyczuł, że zaraz zacznę się płatać w zeznaniach, wziął mnie za rękę i uściśnął. A ja, czując nagły przypływ sił, oświadczyłam rażnym głosem:

- Myślę, Wero, że nawet jeśli mamy nie będzie, nie pozostaje nam nic innego, jak urządzić święta, uroczyste, jak zawsze. Ja się tym zajmę. Przygotuję wszystko, o ile... o ile ktoś troszkę mi pomoże, ponieważ w Wigilię pracuję.

- Ależ naturalnie, kochanie, wszyscy się włączą. Nie śmieliśmy ci tego proponować... - Z tyłu ktoś zaczął trąbić, więc Wera rzuciła na pożegnanie: - Zadzwoń do mnie w tygodniu. Powiesz tylko, co przygotować, a ja wszystko zorganizuję. Miło było cię poznać, Gabriel.

Gdy samochód ruszył, wykrzyknęłam rozpaczliwie:

- Boże! Jaka jestem głupia! Przecież nie mam pojęcia o pieczeniu indyka!

- Są książki kucharskie. A czytać potrafisz.

- Gdyby książka wystarczyła, każdy z nas byłby mistrzem patelni.

- Kiedyś trzeba zrobić pierwszy krok.

- Podczas świąt nie ma czasu na eksperymenty. Mówi-

łam ci, zaczynać trzeba już we wrześnie. A ja nie mam nic, ani puddingu, ani ciasta.

- Biorę to na siebie.

- Naprawdę? - Moje serce podskoczyło radośnie. - Chcesz razem z nami spędzić święta?

- Opiekowałaś się mną, teraz moja kolej. W którą stronę jechać, Sophie?

- W prawo.

Dom był pusty, ani ojca, ani psów.

- Może poszedł z nimi na spacer - stwierdził Gabriel.

- Możliwe. W takim razie my też przejdziemy się po lesie, ale na pewno będzie okropne błoto. Wyszukaj sobie odpowiednie buty, a także i kurtkę, bo jeżyny nie są łaskawe dla kaszmiru.

Sama chwyciłam parę wellingtonów, czekających w tej wiecznie zabłoconej sieni, pełnej kurtek i butów, i pobiegłam do samochodu, żeby wypuścić psy. Po chwili zjawił się zmieniony nie do poznania Gabriel. Koniec z surowym, eleganckim doktorkiem. W prostym wiejskim przyodziewku doktor York wyglądał rewelacyjnie. Z takim mężczyzną gotowa byłabym spędzić resztę mego życia. Bo to nie szata zdobi człowieka, o nie!

- Idziemy - zakomenderowałam. - Po drodze będziemy rzucać patyki psom, żeby odciągnąć ich uwagę od bażantów.

Spytał, czym zajmuje się mój ojciec, a ja, o dziwo, rozgadałam się. O zwierzynie płowej i sadzeniu wierzb, odnawialnego źródła energii. Okazało się, że mam wiele do powiedzenia na temat zrównoważenia potrzeb środowiska z nowoczesnymi metodami uprawy roli. Słuchałam

ojca od lat i w głowie zostało mi o wiele więcej, niż przypuszczałam, nawet problem spadku populacji ptaków śpiewających był mi całkiem dobrze znany.

Jednocześnie działo się coś jeszcze. W skrytości ducha przetrawiałam swoje najnowsze odkrycie.

Moje serce jest złamane.

Wiedziałam o tym, przecież kiedyś już mi się to przydarzyło. Teraz też będzie nieciekawie. Bo niby z jakiego powodu stan mego serca miałyby interesować Gabriela Yorka?

Ale w porządku. Wtedy przeżyłam, teraz też przetrwam, choć na pewno będzie trudniej. Cóż, im człowiek starszy, tym bardziej boli.

Nad ścieżką zwisała gałązka jeżyny. Chciałam ją ułamać. Odskoczyła i wróciła jak bumerang. Gabriel wyplątał moją dłoń i osuszył ranę chusteczką.

- Boli? - spytał.

- Troszkę kłuje, ale...

Pochylił głowę i pocałował mnie w usta. Słodko, delikatnie. Potem wziął mnie za drugą rękę, tę nieuszkodzoną, i poszliśmy z powrotem w stronę domu.

Znów rozważałam w duchu dylemat. Ten pocałunek... gdybym stanęła na palcach, może trwałby trochę dłużej... Może znów się czymś zadrapać i spowodować powtórkę...

Nie. Ten miły moment powtórzymy później. Teraz żadnego udawania, żadnych gier. Teraz walę prosto z mostu. Bo muszę się czegoś dowiedzieć, i to natychmiast.

- Gabriel, opowiedz mi o tej znajomej, co pilnowała ci psów.

- O June? Była pielęgniarką.

Czyli znana historia. Kontakt wzrokowy ponad stołem operacyjnym...

- Była wspaniałą pielęgniarką, niestety uległa poważnemu wypadkowi i musiała zrezygnować z pracy.

No to umarł w butach. Bo ja tej kobiety nie mam prawa nienawidzić.

- To straszne...

- Na szczęście June tak łatwo się nie poddaje. I zawsze uwielbiała gotować. Pieniądze nie są jej potrzebne, bo dostała duże odszkodowanie, ale ponieważ nie potrafi usiedzieć na miejscu, założyła małą firmę cateringową.

- A także, kiedy gdzieś wyjeżdżasz, bierze do siebie twoje psy?!

Gabriel zatrzymał się, tarasując mi ścieżkę.

- Zazdrosna?

Błyskotliwą odpowiedź w stylu: „Wybacz, niby z jakiej racji miałabym być zazdrosna o babkę, co lata z twoimi psami?” miałam już na końcu języka, ale niedawna przysięga nie wywietrzała mi jeszcze z głowy. Żadnego udawania, żadnych gier.

- Tak. Zazdrosna.

- To dobrze...

I znów mnie pocałował. Tym razem nie śpieszył się. Najpierw wsunął mi kciuk pod brodę, żebym uniosła twarz. Chłodne palce drugiej dłoni głaskały mój kark, czarne, głębokie spojrzenie spoczywało na mnie prawie wieczność całą. Potem pocałował. I przysięgam, nigdy nikt mnie tak nie całował. Było tak, jakby Gabriel oddawał mi część samego siebie, tę część, której istnienia nigdy nie

podejrzewał. A ze mną działy się cuda. Przez ostatnie lata żyłam za szybą, widziałam, co dzieje się wokół, ale nigdy w tym nie uczestniczyłam naprawdę. Świat był obok mnie, nikt i nic nie było w stanie mnie dotknąć ani poruszyć. Do tej chwili...

Nie, nie można całować lepiej. Pocałunek życia, tak czasami ludzie mówią na sztuczne oddychanie usta-usta. I to było właśnie to. Coś, co oszałamiało, wprawiało w drżenie i jednocześnie kazało wrócić do życia. Prawdziwego życia.

Nieopodal zatrzepotały rozpaczliwie skrzydła bażanta. Spośród drzew wypadły kochane pieski, oczekujące nadzwyczajnych pochwał. Gabriel gwizdnął na nie i ruszyliśmy w stronę domu. Po drodze mijaliśmy szkółkę leśną.

- Co to jest, Sophie?
- Miejsce, gdzie hoduje się choinki na święta.
- Czyli tu można wybrać sobie najwyższe, najbardziej gęste i rozłożyste drzewko?
- Tak. Właśnie tutaj.
- Nie moglibyśmy teraz tego zrobić?
- Myślę, że powinniśmy wracać. Niepokoję się o tatę:
- Gdy jednak dojrzałam przepiękną choinkę, zdecydowałam błyskawicznie: - Dobrze. Tamto drzewko będzie nasze!

Kiedy wróciliśmy do domu, ojca nadal nie było. Nalałam wody psom, po czym otworzyłam lodówkę, aby z jej zawartości wywnioskować, czy ojciec jada, czy nie. Wyniki inspekcji były gorsze, niż myślałam. W lodówce nie było nawet mleka.

- Właśnie miałam zamiar cię spytać, czy nie jesteś głodny - powiedziałam, czując na ramieniu dłoń Gabriela.
- Szczerze mówiąc, konam z głodu. Wygląda na to, że musimy skombinować coś do żarcia.
- Za późno. W pubie podają lunch do drugiej.
- Ale na stacjach benzynowych karmią przez całą dobę.

Była jeszcze jedna szansa. Otworzyłam kredens i znalazłam kilka puszek z zupą, a z zamrażarki wydobyłam kilka długich bułek, upieczonych kiedyś przez mamę. Wsadziłam je do piekarnika i po chwili kuchnię wypełnił zapach, jaki w tym domu powinien gościć codziennie. Na duszy zrobiło się markotnie. Szkoda, że jednak nie wybrałam stacji benzynowej...

- Ile ludzi będziemy przyjmować?
- Co?

Wróciłam do rzeczywistości, zakazując memu sercu radosnego szaleństwa, kiedy usłyszało to cudowne „będziemy”, czyli „my”. Powiedział to mężczyzna, który nie chce, żeby ktoś przez niego płakał, wobec powyższego swoje serce trzyma w kasie pancерnej. Wróg związków damsko-żeńskich numer jeden.

Ten mężczyzna tu jest, lecz wkrótce odejdzie, nie oglądając się za siebie.

I ja mam na to pozwolić?!

Muszę. Ale przedtem będą radosne święta, kiedy ludzie dają sobie podarki.

Ja będę prezentem gwiazdkowym dla Gabriela. Gabriel będzie prezentem dla mnie.

- Chodzi mi o gości, Sophie. Ile osób przyjdzie w Bo-

że Narodzenie? - dopytywał się, kiedy mój umysł wciąż pracował na zwolnionych obrotach.

- Goście... Aha... Zwykle przychodziło ze dwadzieścia osób, tym razem towarzystwo będzie zdzięsiątkowane. Mama nie przyjedzie, ciotka Kora na pewno też się nie pojawi, choć zapowiadała, że kiedyś tam do taty zajrzy. Kate i Simona nie będzie, tak samo Tony'ego. Puste miejsce przy stole, choć po części zapełnisz je ty i ta twoja gotująca dama...

- Sophie!

- Co? -

- Słyszałem samochód.

To był tata. Przy jego nodze szły labradory, na rękach niósł Flossie, starą spanielkę mamy. Percy i Joe, zachowując bezpieczną odległość, bez polecenia zrobiły „siad”, jakby okazując tym swój szacunek. Tata spojrzał na mnie beznamiętnie, wcale nie był zaskoczony moim widokiem.

- Byłem z nią u weterynarza - poinformowałem. - Powiedział, że nie można jej pomóc. Choruje z tęsknoty.

Cały gniew, który czułam od wielu tygodni, znikł jak ręką odjął. Podeszłam do ojca i objęłam go.

- Tata, jedź do niej. Porozmawiaj, powiedz mamie, że nie możesz bez niej żyć.

- Nie mogę zostawić farmy.

- Masz przecież zarządcę, dopilnuje wszystkiego.

- Ale psy...

Uzmysłowiłam sobie, że tata się boi. Boi się, że mama nie wróci.

- Ja zajmę się psami - zadeklarował Gabriel.

O stanie ducha i umysłu taty świadczył fakt, że bez

wahania przyjął pomoc od kompletnie obcego człowieka. A mnie jeszcze zapytał:

- Myślisz, że ona mnie wysłucha?
- Żeby przekonać się o tym, musisz spróbować, tato.

Spakowałam rzeczy ojca do podróźnej torby, w tym czasie Gabriel zarezerwował mu bilet na samolot. Tata miał lecieć tego samego dnia, wieczorem.

- Dziś?! Gabriel, to niemożliwe - protestowałam. - Nie zabierzemy się do Londynu ze wszystkimi psami. Będę musiała tutaj zostać.

I zawiodę tylu ludzi. A poza tym... poza tym tak bardzo nie chciałam rozstawać się z Gabrielem!

- Odwieziesz ojca na lotnisko, Sophie. Zostanę tutaj i będę miał oko na wszystko. Zaopiekuję się Flossie, nie martw się.

- Czyli mamy do czynienia z jeszcze jednym desperatem - mruknęłam pod nosem. - Dobrze, ale pamiętaj, że to farma, tu zawsze coś się dzieje. Wszystkie klucze znajdziesz w biurze taty. Zadzwoń do pani Marsh, naszej gosposi, powiem jej o tobie. Pani Marsh będzie ci gotować. Chyba że wolisz, aby zajął się tym ktoś inny.

Wiadomo kto, ale imię June jakoś nie chciało mi przejść przez gardło.

- Dam sobie radę. - Gabriel uściskał mnie, ale to, niestety, wcale nie oznaczało odpowiedzi na moje pytanie. - Jedź już, Sophie, bo twój ojciec spóźni się na samolot. Koniecznie zadzwoń, kiedy będziesz już w domu.

Ze świętami tak już jest. Kiedy już zdecydujesz się je obchodzić, zaczynają rządzić twoim życiem i nadają bieg

wypadkom. Panią Andrews oczywiście zaprosiłam, a ponieważ Alan ze sklepu z zabawkami w święta również pozostał sam, też mu zaproponowałam przemieszczenie się do Berkshire. W końcu w range-roverze jest mnóstwo miejsca.

W kwaciarni zastałam Gretę we łzach. Po raz pierwszy z ust tej dzielnej kobiety usłyszałam słowa skargi. Jak przykro, kiedy z powodu braku pieniędzy nie można dzieciom urządzić prawdziwych świąt. Nie wahałam się ani chwili. Bo i w czym problem? Ściśniemy się trochę w samochodzie i też dojedziemy. A tak w ogóle, to co to za święta bez dzieci?

Zadzwoiłam do agencji, żeby uzgodnić z nimi kilka spraw, przy okazji uprzejmie zagadnęłam Lodowatą, jak spędza święta. A Lodowata - nie, już Lucy - zamiast rzucić coś chłodno, nagle rozryczała mi się do słuchawki i wyznała, że właśnie rozstała się z facetem, z którym była od lat. Na szczęście Lucy miała swój samochód, bo do range-rovera nie dałoby się jej wcisnąć.

Gabriel zabrał mnie na jasełka, w których występowała Lucia, córka Marca, właściciela włoskiej kafejki. Kiedy słuchałam, jak dzieci z wielkim przejęciem śpiewają kolędy, nie mogłam nie uronić łezki. Miałam nadzieję, że Gabriel tego nie zauważy, a on wziął mnie za rękę i leciutko uściśnął. Nie musiał niczego mówić. Po jasełkach Marco zaprosił nas na rodzinną kolację. Na Pimlico wróciliśmy wieczorem.

Kiedy splótł swoje palce z moimi, nabrałam odwagi.

- Gabriel, proszę, nie jedź.

Nie było siły, żeby nie zrozumiał znaczenia moich słów.

- Muszę. Zostawiłem Flossie pod opieką Wery. - Pocałował mnie w policzek. - Przyjadę w Wigilię pomóc w transporcie zabłąkanych wędrowców, których zapraszasz do swego stołu.

- Jedź ostrożnie - powiedziałam, kiedy odchodził. Błagam, Gabriel, tobie nic złego nie może się stać...

W Wigilię, po podaniu w pubie ostatniej porcji indyka, powędrowałam do stacji metra, w pobliżu której urzędował bezdomny Paul, sprzedający „Big Issue”. Nie widziałam się z Paulem od kilku tygodni, teraz chciałam sprezentować mu kilka puszek z karmą dla jego pieska na świąteczny psi stół.

- Paul? Znalazłeś sobie w końcu jakiś dach nad głową? - spytałam, pieszcząc słodkiego małego kundelka.

- A jakże! - Na jego twarzy radosny jak u dziecka uśmiech. - I mieszkanko, i robotę. Zaraz po świętach.

Po świętach.

Doskonale wiedziałam, co mama zrobiłaby w tej sytuacji, ale nie było to teraz istotne. Zaprosiłam Paula z pieskiem, bo sama tego chciałam. I od razu zabrałam ich na Pimlico. Gabriel już tam był. Ulokował Tygrysicę w klatce, teraz ładował do samochodu rzeczy, które trzeba było przewieźć do Berkshire.

Przedstawiłam Paula i pieska, potem Gabriel odciągnął mnie na bok.

- Brakowało mi ciebie — powiedział cicho. Czarne oczy spojrzały bardzo wymownie. A może i nie, może ja dojrzałam w tych oczach tylko odbicie moich pragnień.

- Wyglądasz o wiele lepiej.

- I czuję się o wiele lepiej. Spacerzy z psami dużo mi dały. Nie tylko wróciłem do sił, ale podjąłem też ważne życiowe decyzje. - Zmienił się, tryskał energią jak człowiek gotowy do niebywałych czynów, śmiało spoglądający na odległy horyzont. Na koniec dodał: - Powiem ci o tym później, Sophie.

„Później” to cała wieczność, niestety.

- Tata nie przekazał żadnej wiadomości?
- Nie. Ale trzeba dać mu trochę czasu, Sophie.
- Rozumiem. A co z Flossie?
- Trzyma się.

Pani Marsh i Wera stanęły na wysokości zadania. Dom lśnił czystością, lodówka i zamrażarka załadowane po brzegi, na kuchennym stole karteczka. Obie panie zjawia się następnego dnia z samego rana, żeby przygotowywać jarzyny.

Brak było tylko kolorowych świątecznych dekoracji. I moich rodziców.

- Gdzie oni są, Gabriel? Dzwoniłam do nich, nagrałam się. I nic. - Rozłożył ramiona. Schowałam się w nich na jedną cudowną chwilkę. Dzięki temu udało mi się uśmiechnąć i powiedzieć: - W porządku. Dam radę.

- Jasne.

Zaczęłam szykować kolację, natomiast Gabriel skrzyknął mężczyzn, by wyładować bagaże z samochodów i roznieść je do poszczególnych sypialni. Kiedy uwinęto się z robotą, sięgnął po koszyk z pokrywką, który przywiózł z sobą, i wyciągnął z niego butelkę czegoś bardzo starego, mocnego i rozgrzewającego.

- Nie denerwuj się, Sophie. - Podał mi kieliszek. - Twój ojciec cię nie zawiedzie.

- Wiem.

Mój głos brzmiał bardziej pewnie, niż się czułam. Ale miły gwar dookoła plus zawartość kieliszka ogrzewały zimne zakamarki serca i dodawały otuchy.

Przed dom zajechał jeszcze jakiś samochód. Lucy czy June?

Wyszedł na dwór, ja wróciłam do ugniatania ciasta. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam Gabriela, czule obejmującego nie mnie oczywiście, lecz jakąś drobną kobietę, spoza jego ramienia prawie niewidoczną.

Zazdrość?

Bardziej niż prawda. Ukłucie było ostre, pełne jadu, aż nadto odczuwalne.

- Sophie, chciałbym przedstawić ci June.

June była szczuplutką, bardzo zadbaną panią, w wąziutkich dżinsach i obszernej sportowej bluzie. Włosy króciutko ostrzyżone. I siwe. June miała co najmniej sześćdziesiąt lat.

Twarz Gabriela, spoglądającego na mnie ponad głową June, promieniała. Łobuz, żeby nie powiedzieć jeszcze gorzej! Od początku wiedział, jaką mam koncepcję związaną z byłą pielęgniarką, i wcale nie wyprowadzał mnie z błędu.

Powitałam June z wielkim entuzjazmem, po czym moją uwagę zaprzątnęło przybycie Lucy. Do kuchni przyszły też córeczki Grety, bardzo onieśmielone obcym miejscem i obecnością tylu nieznanym osób. Obładowałam je pudełkami z ozdobami choinkowymi i wyznaczyłam bardzo

ważne zadanie. Razem z mamą i Alanem mają przejść po całym do domu i obrzucić go lametą. Gabriel zaprowadził June do jej pokoju, a Lucy i ja zajęłyśmy się nakrywaniem do kolacji.

- Miałaś rację - powiedziała Lucy, przyglądając się, jak doglądam ziemniaków i zastanawiam się, czy wystarczy dla wszystkich. - Naprawdę masz, jak to określiłaś, umiejętności pani domu.

Do kuchni wdarł się podmuch mroźnego powietrza. Znow ktoś wszedł przez tylne drzwi. Gabriel, z najbardziej dorodną jemiolą, jaką kiedykolwiek widziałam.

- Piękna. Skąd ją masz?

- Zauważyłem ją w lesie w zeszłym tygodniu. Chciałem pójść po nią wcześniej, ale przyjechała Wera.

Najpierw zaniemowiłam, a potem wybuchłam:

- Czy dobrze usłyszałam?! Poszedłeś do lasu sam, nikomu o tym nie mówiąc! Jak mogłeś? A gdybyś upadł, zranił się albo coś sobie złamał! Jest przecież całkiem ciemno!

- Ale ja jem dużo marchewki - przerwał mi z uśmiechem, a ja uzmysłowiłam sobie, że uczuciowo obnażyłam się całkowicie. - Gdzie mam ją powiesić?

- Podnieś ją wyżej i potrzymaj przez chwilę.

- Tutaj?

Zadarł głowę, szukając wzrokiem jakiejś belki.

- Podnieś jeszcze wyżej. Jeszcze trochę. Świetnie.

Pocałowałam go. Skoro już obnażyłam się emocjonalnie, nie ma powodu do udawania obojętności. Miałam zamiar tylko leciutko musnąć ustami jego wargi, jednak magia jemioli zadziałała wyjątkowo mocno. Pocałunek

trwał i trwał, coraz bardziej odgradzając od otaczającego nas świata.

- Ejże! Może podzielicie się również z innymi tą przyjemnością!

Wesoły okrzyk i śmiech ściągnęły nas z powrotem na ziemię. Kuchnia wypełniona była publicznością.

- Ja też tęskniłam za tobą - powiedziałam cichutko, przeznaczając to zdanie tylko dla uszu Gabriela. A potem nieco głośniej: - Ta jemoła jest cudna.

W tych słowach zawarłam wszystko, co chciałam przekazać. Wystąpienie z deklaracją „kocham cię” na oczach tłumy gości byłoby wielce ryzykowne. Przecież ten mężczyzna słowo „związek” wykreślił ze swego słownika.

Przed dom zajechał kolejny samochód. Znowu wydarzyło się coś dobrego. Przyjechała ciotka Kora. Wieczera wigilijna była taka, jaka być powinna. Wszystkiego w nadmiarze - ludzi, jedzenia, gwaru i śmiechu. A na drugim, odległym końcu stołu - Gabriel, który jak wspominał, zdecydował już o swojej przyszłości. Czy znajdzie się w niej miejsce i dla mnie?

- Co robisz, Sophie?.

Było późno. Musiałam odczekać, aż wszyscy znikną w swoich pokojach, by powywieszać pończochy na gzymsie kominka i powkładać do nich znany mi od najmłodsze-
go dzieciństwa zestaw. Kilka orzechów, pieniędzy z czekolady, kalendarzyk kieszonkowy, pachnące kulki do kąpieli i tak dalej. Robiłam to po raz pierwszy, odkrywając, że jest to czynność jeszcze przyjemniejsza, niż otrzymanie w prezencie wyładowanej drobiazgami pończochy.

- Bawię się w Świętego Mikołaja - wyjaśniłam. - Gabriel, ty też powinienesz się już położyć.

- A co to jest? - Chwycił niewielką paczuszkę, na której wołami było wypisane jego imię.

- Oddaj! Nie wolno! - Pokazałam dodatkowy napis: „Nie otwierać przed Bożym Narodzeniem!”.

A on, nie zważając na protesty, zaczął zdzierać papier.

- Słyszysz, jak bije zegar? Już północ, Sophie, czyli Boże Na...

Nic dziwnego, że głos uwiązł mu w gardle. Z szeleszczącego papieru wysunęła się koszulka nocna z jedwabiu. Rozmiar osiem, jaśniutki krem.

- To... to jakaś pomyłka.

- Nie. Żadna pomyłka.

Odebrałam od niego koszulkę. Zaplanowałam to na jutrzejszy wieczór, ale skoro stało się, jak się stało... Zresztą co za różnica, każdego wieczoru płonęłam z pragnienia słodkiego sam na sam z Gabrielem Yorkiem.

- Chodź - powiedziałam krótko. - Pokażę ci, o co chodzi z tą koszulką.

Wzięłam go za rękę i poprowadziłam schodami na górę, do mojej sypialni. Ustawiłam go na środku pokoju.

- Stój tu i nie ruszaj się. Zaraz wracam.

Całkiem możliwe, że Gabriel zaskoczył już wcześniej. Kiedy jednak ukazałam się w drzwiach łazienki, nie mając na sobie niczego więcej oprócz koszulki, a za uszami Chanel nr 5, zauważyłam z zachwytem, że z nas dwojga to Gabriel jest osobą, która nie może wykrztusić ani słowa. Bo ja - tak. Zarzuciłam mu ręce na szyję i powiedziałam:

- Wesołych świąt, Gabriel.
- Sam nie wiem, co powiedzieć...
- Nie musisz niczego mówić, tylko po raz drągi rozpakuj swój prezent.

Obudził mnie jakiś hałas. Stuk, potem krzyk. Zanim wyplątałam się z ramion Gabriela, uzmysłowiłam sobie, że dźwięk dochodzi z parteru.

Narzuciłam szlafrok i z Gabrielem wpadłam do salonu. Były tam obie córki Grety. Jedna płakała rozpaczliwie, druga, ze spuchniętą twarzą, leżała nieruchomo na podłodze.

- Orzeszki ziemne - rzucił Gabriel, spojrzawszy na rozdarte opakowanie. Wziął dziecko na ręce i zaniósł do kuchni. - Sophie, to szok analeptyczny. Potrzebny mi ostry nóż, długopis, taki zwykły, albo słomka do picia.

Na schodach zadudniło. Do kuchni wpadła Greta.

- Boże miłosierny! Co się stało?
- Greto, biegnij do samochodu i włącz silnik.

Przeżona matka jak lwica rzuciła się do dziecka. Wzięłam z szafki kluczyki od range-rovera i wcisnęłam Grecie do ręki.

- Greto, Gabriel jest lekarzem. Postaraj się opanować, to bardzo ważne. Idź do samochodu, *zapaść silnik* i zadzwoń do szpitala, że jedziemy do nich.

Nie ruszała się z miejsca.

- Greto! Nie mamy czasu!

Pobiegła, a ja odwróciłam się do Gabriela w chwili, gdy ostrym nożem robił małą dziurkę w tchawicy nieprzytomnego dziecka.

- Wyjmij wkład z długopisu - rzucił, nie patrząc na mnie.

Ręce mi drżały, jakby ta prosta czynność była ponad moje siły. Udało mi się jednak zadanie wykonać. Gabriel ostrożnie wsunął rurkę do otworu w szyi dziewczynki, potem zaczął wdmuchiwać powietrze do jej płuc!

Droga do szpitala była koszmarem, tak samo jak czekanie, czy po zaaplikowaniu antyhistaminy opuchlizna ustąpi. Na szczęście tak się stało. Wykonano jeszcze kilka zabiegów, zaszyto nacięcie i dziecko zostało ułożone w szpitalnym łóżku.

A ja dalej się trzęsłam.

Gabriel był jak skała.

- Co tam sztuczne oddychanie, nawet usta-usta - powiedziała. - To, co zobaczyłam z tą rurką... Nie, tego nigdy bym nie była w stanie się nauczyć...

- Ciebie nie trzeba niczego uczyć, Sophie. Samo przebywanie w twoim towarzystwie jest tchnieniem życia. - Wcale nie żartował, jego głos był pełen powagi, oczy też. Ciepłymi, dużymi dłońmi objął moją twarz. - Powiedz Lucy, żeby cię wykreśliła ze swojej kartoteki. Ja dam ci posadę do końca życia. Żony może nie potrzebuję, ale na pewno potrzebuję ciebie.

- Już mnie miałeś, Gabriel. Na całe życie bierze się szczeniaka, a ja jestem tylko na święta.

Cóż miałam powiedzieć facetowi, który nie uznaje związków?

I wtedy, w chwili najbardziej nieodpowiedniej, wkroczyła Greta. Była blada, ledwie żywa.

- Wprost nie wiem, jak wam dziękować!

Gabriel, co zauważyłam nie bez satysfakcji, spojrzął na Gretę wzrokiem rozkojarzonym, ale natychmiast wziął się w garść.

- Niestety to czasami się zdarza, Greto. Szpital da ci specjalny aparat dla córki. Nauczycie się, jak żyć z alergią. Mała wyjdzie ze szpitala za dzień lub dwa, kiedy uznają, że stan jest stabilny.

- Greto, bądź spokojna, zorganizujemy wszystko. Przywieziemy tutaj ubranie i potrzebne drobiazgi. Ktoś odbierze was ze szpitala. I o nic się nie martw...

Mówiłam, co należało powiedzieć, ale mój umysł zajęty był słowami Gabriela. Potrzebna... posada... Jak mógł tak to ująć?!

- Wracam do domu - oświadczyłam. - Jeśli zaraz nie zajmę się indykiem, nikt go nie skosztuje przed zmrokiem.

Gwałtowna reakcja doktora Yorka była prawdziwym szokiem.

- Do diabła z indykiem! - wrzasnął. - Muszę ci coś powiedzieć, coś o wiele ważniejszego niż ten cholerny indyk!

Na tym nie koniec. Złapał mnie za rękę i nie zważając na spore grono widzów - czyli Gretę, pracowników szpitala i pacjentów czekających na badania - pociągnął mnie w zacisze czterech białych zasłon, tworzących kabinę, w której owe badania się odbywały.

- O co ci chodzi, Sophie? Dlaczego powiedziałaś, że tylko na święta?

To nie był żaden pokój, żadna rozmowa za zamkniętymi drzwiami. Zasłony cieniutkie, każde słowo dochodziło do uszu Grety, pielęgniarek i bladziutkich pacjentów.

- Gabriel - starałam się mówić spokojnie - nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi. Sam mi powiedziałeś, że nie uznajesz żadnych związków...

- Myliłem się. Sophie, wracam do Afryki i...

Mylił się?

- A... rozumiem! - przerwałam głosem o ton wyższym. - Potrzebny ci ktoś do zdobywania tabletek bez skutków ubocznych i dopilnowania, żebyś je połknął.

Wszystko już sobie ułożyłam. On mnie potrzebuje, fakt. Drugi fakt - już mnie ma, nawet jeśli związane jest to z wyjazdem do Afryki. Ale najpierw musi zapłacić za tę „posadę do końca życia”. To przecież takie nieromantyczne!

Gabriel nerwowo przeczesał włosy.

- Sophie, pal sześć tabletki! Potrzebuję ciebie, ciebie, Sophie, rozumiesz? Chcę, żebyś czekała na mnie w domu, była w zasięgu ręki, kiedy wydaje się, że cały świat sprzyśnął się przeciwko mnie. Żebym mógł ciebie objąć, przytulić i...

- Gabriel, proszę, nic już nie mów.

Bo to było już dostatecznie romantyczne, prawda? I mogło wystarczyć na całe życie.

- Muszę ci coś jeszcze wyznać. Wtedy, kiedy zemdlałam, byłaś przekonana, że robisz mi sztuczne oddychanie usta-usta. Ludzie mówią na to „pocałunek życia”. I słusznie, przynajmniej tak było z nami. Dałaś mi życie, bo moje serce, kiedyś tylko pompa, zaczęło pracować zupełnie inaczej. Aż dudni mi w piersi, wystarczy, że o tobie pomyślę, Sophie. A myślę o tobie bez przerwy. Ogrzałaś moje serce i duszę. Czyli sprawa prosta. Bez ciebie nie mogę żyć.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Gabriel?
- Chcę powiedzieć, że kocham cię, Sophie.

Za białymi zasłonami rozległy się okrzyki radości.

Gabriel spojrział na białe zasłony, uśmiechnął się. Ale nie zamilkł.

- Kocham cię, Sophie, i niezależnie od tego, co mówiłaś o nowoczesnych kobietach, które nie potrzebują mężów, chciałbym bardzo, żebyś zastanowiła się nad takim właśnie rozwiązaniem. Nie tylko dlatego, że każde z nas potrzebuje bliskiej osoby. Przede wszystkim dlatego, że „razem” to znaczy o wiele więcej niż proste zsumowanie dwóch jedynek. Wyjdź za mnie, Sophie.

- Gabriel, nie powinieneś mówić takich rzeczy pod wpływem chwili.

- Jakiej chwili! - Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął pudełeczko. - Kupiłem go już w zeszłym tygodniu, kiedy przyjechałem do Londynu. Wiem, że będzie pasował, bo pożyczyłem jeden z twoich pierścionków. - Wsunął mi na palec złote kółeczko. - Diament to kamień niezniszczalny, kamień na zawsze. Tego właśnie pragnę, Sophie. Niezależnie od tego, co dalej będę robił w życiu, chcę, żebyś zawsze była przy mnie.

- Aha. Czyli tak postępujecie wy, macho z gatunku Yorków? Jak się uprzecie, to nie ma siły, tak? A ja nie mam prawa się opierać?

Uśmiech Gabriela był nie tylko zniewalający, ale i bardzo szeroki.

- Nie powiem, żebyś wczoraj wieczorem stawiała wielki opór.

- Ciii, Gabriel, wszyscy słyszą.

- No to pośpiesz się i powiedz „tak”, bo zaraz opowiem wszystkim, jak to wczoraj mnie uwiodłaś...

Miałam jedno wyjście. Długi i namiętny pocałunek. Skutecznie przywiódł Gabriela do milczenia, no i udzielił mu klarownej odpowiedzi. Naturalnie, że „tak”.

Całą drogę do domu byłam niespokojna. Dom pełen gości, a ja wszystkich muszę nakarmić.

Ja? A skąd! Wszystkie role zostały już rozdzielone. Wera zajmowała się jarzynami, pani Andrews wiśniówką, a mama - tak, mama! - indykiem. Fakt obecności mamy w takiej chwili był po prostu oczywisty, o jej eskapadzie właściwie już zapomniałam...

Mama skończyła polewać indyka tłuszczem, zamknęła drzwiczki piekarnika i podeszła do mnie. Uściskała mnie tak mocno, że słowa były niepotrzebne. Świetnie się sprawiłaś, córeczko, jestem dumna z ciebie i szczęśliwa, że wróciłam do domu. Żadnych słów. Chociaż nie.

- Mamo, to jest Gabriel York. Opiekował się twoją Flossie. - Usłyszawszy swoje imię, spanielka pomachała ogonem. - Pobieramy się i wyjeżdżamy do pracy do Afryki.

- Brzmi bardzo ekscytująco. - Mama serdecznie uściskała Gabriela.

Poszliśmy poszukać taty. W pokoju jadalnym zastaliśmy Kate i Simona, nakrywających do stołu.

- Ona zapomniała rozmrozić naszego indyka - poinformował radośnie Simon, a zaraz potem poleciał w jego stronę krakers, rzucony ręką ukochanej żony.

Wykończony długą podróżą tata drzemał w salonie, ale ożywił się na sekundę:

- Wiesz, Sophie, z tym graczem w golfa to nieprawda. Ona po prostu chciała wyjechać i pobyc trochę sama.
- A teraz dbaj o nią, tato. I pomóż jej doprowadzić ogród do porządku.
- Jasne. Zrobię wszystko, co zechce.
- Wydaje mi się, że jesteśmy tutaj zbędni - mruknął Gabriel do mego ucha. - Chodźmy na górę i weźmy pryznic. Też mam dla ciebie prezent gwiazdkowy.
- Bilet do St. Lucia. Naturalnie bilety były dwa.
- Sophie? Chciałbym jeszcze raz obejrzeć prezent gwiazdkowy od ciebie...

Nasz ślub był zupełnie inny niż wymarzyłam to sobie przed laty. Brakowało czasu na przygotowania, poza tym mama pochłonięta była doprowadzaniem swego ogrodu do porządku, o nowych obowiązkach nie wspominając, czyli opiece nad Percym, Joem i Tygrysią.

Moją pierwszą drużną była Ginny. Po cichej mszy w wiejskim kościółku rodzina i przyjaciele zaproszeni zostali do naszego domu na uroczyste przyjęcie.

Kwiaty miałam przepiękne i okazałe, adekwatne do statusu panny z funduszem powierniczym. Było to jedyne ustępstwo na rzecz fantazji, bo moje małżeństwo z Gabrielem miało nie mieć nic wspólnego z bujaniem w obłokach. Przeciwnie. Będzie to solidny, trwałe związek, oparty na prawdzie, honorze i takiej miłości, która nie polega na patrzeniu sobie w oczy przy blasku świec, lecz na spoglądaniu w tę samą stronę.

Poza tym miałam lepszy pomysł na spożytkowanie tatkowych pieniędzy, które nie zostały wydane na wielki

namiot dla tysiąca weselnych gości. Na przykład świetnie wyposażona lecznica w jakiejś murzyńskiej wiosce, lecznica nazwana imieniem mojej matki.

Ale to będzie dopiero początek.

W dodatku wspaniały początek.

RS